Myśl Polska

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU

POLISH THOUGHT — MONTHLY REVIEW

Nr 128 (Rok VIII, Nr 11) Listopad, 1948 Cena (Price) 2/-

ZAGADNIENIE NIE TYLKO POLSKIE

GRANICA, wykreślona w Rydze w r. 1921, pozostawiała po stronie polskiej te spośród wschodnich ziem dawnej Rzeczypospolitej, które bądź były niezaprzeczenie polskie, bądź też, mimo wszystkich swych odrębności, zachowały charakter przeważająco polski i zachodni pod względem cywilizacyjnym. Obie strony w oświadczeniach swych przedstawicieli deklarowały, że uważają Pokój Ryski za zakończenie wzajemnych wielowiekowych roszczeń i zmagań, — przy czym nie może ulegać wątpliwości, że w kompromisie tym Polska, choć zwycięska wówczas w starciu zbrojnym, była stroną więcej dającą. Traktatem Ryskim wyrzekła się ona około 300.000 kilometrów kwadratowych swych posiadłości przedrozbiorowych — i to nie tylko ziem, które w okresie niewoli uległy drogą gwałtu procesowi daleko idącej depolonizacji, ale także takich (jak zachodnie połacie Ziemi Mińskiej i Podola, objęte „linią Dmowskiego"), w których pozycja żywiołu polskiego była pod wieloma względami dominująca.

Traktat Ryski był jednak nie tylko zamknięciem okresu porachunków terytorialnych między Polską a jej sąsiadem wschodnim. Wykreślona w nim granica stała się niezbędnym i niezastąpionym czynnikiem równowagi europejskiej. Granica ta stanowi środkowe ogniwo przedwojennej zachodniej linii granicznej Związku Sowieckiego, ciągnącej się mniej więcej prosto, bez większych załamań, od Zatoki Fińskiej po Morze Czarne. Linia ta podtrzymywała niepodległość całego pasa krajów Europy Środkowo-Wschodniej od Finlandii i Estonii po Bałkany. Z chwilą gdy Sowiety postąpiły po Bug i San, czyniąc w samym środku tej linii głęboki wyłom, okrążyły one od południa Litwę, Łotwę i Estonię, a od północy Rumunię, Węgry i Słowację. To geograficzne okrążenie umożliwiło najpierw w r. 1940 aneksję trzech państw bałtyckich, a później opanowanie Czechosłowacji, Węgier, Rumunii i, co za tym idzie, innych krajów bałkańskich. Jeśli nawet pominąć momenty natury militarnej, to sam fakt okrążenia tych niedużych krajów podziałał wówczas, i działać musi w analogicznych okolicznościach w przyszłości, jak groźny nacisk psychologiczny i polityczny. Szczególnie niebezpieczne jest usadowienie się Rosji w Karpatach, a nawet poza ich łukiem, na Rusi Podkarpackiej. Rosja pojawia się w ten sposób w basenie Dunaju i ciąży psychologicznie, politycznie, gospodarczo i militarnie nie tylko nad tym basenem, ale także nad całym Półwyspem Bałkańskim.

Złudne jest mniemanie niektórych czynników, jakoby niebezpieczeństwom tym mogło na serio zapobiec powstanie u zachodnich rubieży Rosji samodzielnych państw białoruskiego i ukraińskiego. Podobnie jak po Pierwszej Wojnie Światowej, trwałość tych tworów państwowych może okazać się problematyczna i po krótkiej samodzielnej egzystencji mogą one znaleźć się znowu w granicach Rosji, bądź jako kraje z nią sfederowane, bądź też ponownie do Rosji wcielone. W tych warunkach oddanie np. Ukrainie dostępu terytorialnego do Karpat poprzez Małopolskę wschodnią i Bukowinę mogłoby łatwo utorować Rosji drogę do ponownego usadowienia się w tym obszarze oraz na Rusi Podkarpackiej.

Jeśli chodzi o Ukrainę, to szczególnie pouczające jest ogłoszone niedawno w „Przeglądzie Polskim" studium dra Stanisława Skrzypka o obecnej strukturze etnicznej ziem, do których politycy ukraińscy zgłaszają roszczenia. Ze studium tego, bardzo starannie udokumentowanego, wynika, że na obszarze Ukrainy Sowieckiej w dzisiejszych jej granicach ludność ukraińska stanowi w najlepszym razie około 55 % ogółu ludności, a stosunek ten w przyszłości ulec może jeszcze dalszemu pogorszeniu. W tych warunkach jest rzeczą jasną, że o ile trwałe odcięcie od Polski jej terytoriów południowo-wschodnich ogromnie by ją osłabiło i pozbawiło ja wspólnej granicy z Rumunią, o tyle z drugiej strony nie zapewniłoby wcale siły ani spoistości organizmowi narodowemu ukraińskiemu, którego naturalny ośrodek leży po obu stronach Dniepru i który utrzymać może swą odrębność tylko przy daleko idącej koncentracji swych sił etnicznych.

Jedynym sposobem stworzenia w Europie Środkowo-Wschodniej sensownego układu geopolitycznego, trwałego pohamowania ekspansji rosyjskiej i zabezpieczenia niepodległości krajom bałtyckim, basenowi naddunajskiemu i Bałkanom jest przywrócenie Polsce granicy Traktatu Ryskiego. Granica ta odsuwa Rosję o 250-300 kilometrów ku wschodowi; nie do pomyślenia bez niej jest

ZGON PRYMASA HLONDA

JUŻ w czasie składania obecnego numeru przyszła wiadomość o zgonie śp. prymasa kardynała Augusta Hlonda. Wiadomość ta odbije się echem w każdym polskim sercu.

Kardynał Hlond był czymś więcej niż prymasem Polski. Stał się on w ostatnich latach najwyższym autorytetem moralnym w kraju. Był jedynym szeroko w świecie znanym biskupem polskim. Prawie cały episkopat polski składa się z pasterzy mianowanych za jego prymatury.

Śmierć prymasa Hlonda jest poważnym ciosem nie tylko dla Kościoła w Polsce, ale i dla narodu polskiego. Pewną ręką, z dużym doświadczeniem politycznym prowadził On organizację kościelną polską, stanowiącą dziś najpewniejszy bastion przeciw naporowi komunistycznemu na ducha polskiego.

Nie łatwo będzie zastąpić w życiu polskim lukę wywołaną zgonem wielkiego kapłana.

stworzenie silnego i trwałego związku państw Europy Środkowo-Wschodniej, który uważamy za konieczny element przyszłej równowagi europejskiej.

Obecność Rosji na łuku karpackim, w dorzeczu Niemna i na linii Bugu, odległej zaledwie o 170 kilometrów od Warszawy (od granicy Traktatu Ryskiego dzieli Warszawę 450 km), działać musi na imperializm rosyjski pobudzająco, podobnie jak dla Niemiec posiadanie przez nie Prus Wschodnich, klina śląskiego i innych obszarów na wschodzie było stałą pokusą do dalszego pochodu. Z drugiej strony pozostawienie ziem wschodnich Polsce nie stanowi żadnego uszczerbku dla Rosji pokojowej i nie usposobionej agresywnie. Obszar tych ziem stanowi zaledwie 0,9% całej powierzchni ZSSR w jego przedwojennych granicach, a ludność mniej niż 7% ludności ZSSR. Także ekonomicznie ziemie wschodnie Polski nie mają dla pokojowej Rosji żadnego znaczenia; wszystkie znajdujące się w nich surowce Rosja posiada w bez porównania większej i zupełnie wystarczającej na swe potrzeby ilości. Tak np. obszar lasów w Polsce wschodniej wynosi 4 miliony ha, podczas gdy w ZSSR 950 milionów ha. Produkcja ropy naftowej w Polsce wschodniej wynosiła przed wojną 500.000 ton, a w ZSSR 27 milionów ton (w r. 1936), czyli prawie 50-krotnie więcej; obecnie jest jeszcze znacznie wyższa.

Nafta, gaz ziemny, rolnictwo i lasy ziem wschodnich są natomiast niezmiernie ważnymi czynnikami życia gospodarczego Polski. Ziemie wschodnie mają też dla Polaków walor uczuciowy szczególnie wysoki, jakiego dla Rosji nigdy nie posiadały i posiadać nie mogą. Wystarczy wymienić miasta Lwów i Wilno oraz Ziemię Nowogródzką, ojczyznę Mickiewicza i jego „Pana Tadeusza", a także Krzemieniec, ojczyznę Słowackiego i siedzibę jednego z wielkich ognisk kultury polskiej.

W przemówieniu swym, wygłoszonym dn. 9 października 1948 r. w Llandudno, b. premier brytyjski Churchill — pierwszy spośród przewódców politycznych Zachodu — stwierdził publicznie, że nie może być pokoju w świecie póki kraje Europy Środkowo-Wschodniej nie odzyskają wolności. Choć równocześnie mówił o wycofaniu się Rosji tylko po linię Curzona, nie tracimy nadziei, że zarówno on, jak i inni czołowi politycy świata zachodniego dojdą jeszcze do przekonania, że przywrócenie Polsce jej ziem wschodnich jest zagadnieniem nie polskim tylko — że ma ono wagę europejską, a więc i światową.

MOWA W LLANDUDNO

Mowa, którą Churchill wygłosił 9 października na konferencji Partii Konserwatywnej w Llandudno, odbiła się szerokim echem w prasie po obu stronach Oceanu głównie dlatego, że wniosła nowe sformułowania w sprawach najistotniejszych: bomby atomowej i pozytywnego programu politycznego wobec agresji sowieckiej.

W sprawie bomby atomowej Churchill powiedział właściwie to, co każdy rozsądny człowiek myślał od dawna, a co politycy starali się wszelkimi sposobami ukryć przed opinią publiczną (nie wyłączając Ameryki). Slogan najczęściej dotąd używany brzmiał: „Użycie bomby atomowej w ewentualnej wojnie oznacza koniec świata cywilizowanego, wobec tego w żadnym wypadku nie wolno nam jej użyć". Churchill natomiast pierwszy powiedział głośno, że jeśli świat zachodni do tej pory nie został zalany falą bolszewicką, to zawdzięcza swoje ocalenie wyłącznie monopolowi amerykańskiemu w zakresie energii atomowej, i że

„narody zachodnie mają o wiele większą szansę osiągnięcia trwałego pokoju bez rozlewu krwi, jeżeli sformułują swoje słuszne żądania dopóki posiadają energię atomową, a zanim rosyjscy komuniści również ją posiądą".

Biorąc pod uwagę inny postulat, powtórzony przez Churchilla również w ostatnim przemówieniu, mianowicie: „Powinniśmy doprowadzić sprawy do rozstrzygnięcia i ustalić ostateczny porządek" — nie trudno wyciągnąć wnioski, że w istocie rzeczy Churchill proponuje użycie groźby siły lub samej siły w konflikcie z Rosją Sowiecką.

Wśród żądań, jakie powinny być Rosji postawione, Churchill wyliczył: wycofanie się Rosji do granic ich własnego kraju (na odcinku polsko-rosyjskim Churchill wymienił tzw. linię Curzona, o czym piszemy w innym miejscu), uwolnienie jedenastu dawnych stolic we wschodniej Europie, zaprzestanie ucisku i eksploatacji w rosyjskich strefach Niemiec i Austrii, oraz—na Dalekim Wschodzie — zaprzestanie akcji odśrodkowej w Malajach i Indonezji, uwolnienie północnej Korei i wreszcie wycofanie komunistów z wojny domowej w Chinach.

Rzeczą ciekawą jest przyjrzeć się odgłosom, jakie wywołały sformułowania przewódcy konsewatystów. Prasa amerykańska przyjęła je z zadowoleniem, znajdując w nich uspokojenie swoich wątpliwości natury moralnej. Publicysta Walter Lippmann, godząc się generalnie z założeniami i celami sformułowanymi przez Churchilla, wprowadził jedną tylko poprawkę, że nie należy uczynić tego w chwili obecnej, a że trzeba odczekać wyborów w Ameryce i uzupełnienia przygotowań wojskowych mocarstw zachodnich.

W Anglii, czego można się było spodziewać, najgłośniej zaprotestowała lewica socjalistyczna. Ministrowie Shinwell i Bevan nazwali Churchilla podżegaczem wojennym. Dla obu organów tej grupy, które w niedawnej przeszłości zarzucały Polakom brak „realizmu politycznego" — realistyczna ocena Churchilla okazała się zbyt silną pigułką, i nerwy ich nie wytrzymały. „New Statesman and Nation" nazwał Churchilla defetystą (sic!) działającym w interesie reakcjonistów amerykańskich. Przy tej okazji pismo sformułowało swój stosunek do sprawy dozbrojenia: „Nie można dopuścić pod żadnym warunkiem, by dozbrojenie zniweczyło odbudowę społeczną, ponieważ jeśli to nastąpi, walka przeciw komunizmowi w Europie jest przegrana". Trudno dopatrzyć się w tym sformułowaniu różnicy z hasłem komunistów francuskich: „Pod żadnym warunkiem nie będziemy bić się ze Związkiem Sowieckim".

Drugi lewicowy organ „Tribune" zajął podobne stanowisko w artykule zatytułowanym „Churchill podżegaczem wojennym?". Natomiast komentarze bezpartyjnego tygodnika „Spectator" odznaczają się jak zwykle umiarkowaniem, graniczącym z hipokryzją. W artykule wstępnym redaktor naczelny twierdzi, że propozycja Churchilla może łatwo być przekręcona przez propagandę sowiecką w postulat rozpętania wojny prewencyjnej. Oczywiście — dodaje autor — jest rzeczą pewną, że Churchill nic podobnego nie miał na myśli, a w każdym razie „idea wojny jest do tego stopnia wstrętna dla każdego narodu zachodniego, że nikt choć trochę uczciwy bądź rozsądny nie mógłby wyczytać w słowach Churchilla niczego, co by miało charakter groźby".

Poważny tygodnik gospodarczy „Economist" przyznaje, że to, co Churchill powiedział, mogło wstrząsnąć do szpiku kości wielu ludzi na Zachodzie, że jednak we Wschodniej Europie spowoduje szybsze bicie wyczekujących serc. W konsekwencji pismo zaleca Bevinowi i Marshallowi zastanowić się, jak wzrastająca siła gospodarcza i wojskowa świata zachodniego może wyrazić się w dyplomatycznej strategii i taktyce bez uciekania się do wojny. Trudno jednak wyobrazić sobie, by jakakolwiek akcja dyplomatyczna mocarstw zachodnich mogła być skuteczna, skoro „Economist" wygłasza ex catedra w tym samym komentarzu opinię, że „rządy zachodnie w dzisiejszym ich składzie są niezdolne zagrozić wojną i nie uwierzono by im w Moskwie, gdyby próbowały to uczynić".

Przytoczyliśmy komentarze głównych pism tygodniowych, żeby zwrócić uwagę na stan przygotowania psychicznego kół intelektualnych angielskich do zbliżających się decyzji. Pisma codzienne — z wyjątkiem „Daily Mail" — albo wstrzymały się od wypowiedzenia się, albo, jak to uczyniły „Times" i „Manchester Guardian", ustosunkowały się krytycznie do samej koncepcji Churchilla. Z innych pism jedynie tygodnik „Time and Tide" oraz niedzielny „Observer" całkowicie poparły zarówno analizę sytuacji międzynarodowej dokonaną przez Churchilla w Llandudno, jak i część konstruktywną jego programu.

Czy opinie prasy odzwierciadlają nastroje szerokich mas? Zapewne w ciągu ostatnich trzech lat szary człowiek mógł się sporo dowiedzieć o metodach komunistycznych i grożącym cywilizacji zachodniej niebezpieczeństwie. Z drugiej strony fałszywy obraz rzeczywistości sowieckiej, wtłaczany mu przez tyle lat poprzednich, musiał w umyśle przeciętnego człowieka pozostawić chaos, a wolę sparaliżować. Mowa Churchilla była pierwszym zabiegiem chirurgicznym na

sparaliżowanej woli przewódców i społeczeństw zachodnich. I na tym głównie polega jej znaczenie.

KONCEPCJA OPŁOTKÓW

Jak dalece brytyjski minister spraw zagranicznych musi liczyć się z lewicą swojej partii, o tym świadczy jego przemówienie wygłoszone do członków Zrzeszenia Przemysłowców dnia 14 października, a więc w kilka dni po mowie Churchilla. M. in. Bevin zwrócił uwagę swoich słuchaczy na konieczność wzmocnienia stanu obronności Bliskiego Wschodu oraz obszaru Oceanu Indyjskiego, przede wszystkim Indii, Pakistanu i Cejlonu. Przy tej okazji Bevin nazwał Rosjan narodem „ostatnich imperialistów" i skierował do nich zaproszenie, by, jeżeli chcą być dobrymi sąsiadami Wspólnoty Brytyjskiej, trzymali się swojej strony płotu, a wtedy będą mogli „żyć u siebie swoim własnym życiem i na swoją modłę".

Oświadczenie to nie byłoby może dziwne trzy lata temu. Zaproszenia tego rodzaju nie były przyjmowane w przeszłości i pozostaną bez odpowiedzi w przyszłości, albowiem Sowiety wcale nie podzielają poglądu — powiedzmy — mieszkańca sielankowej dzielnicy podmiejskiej Wembley, że żywopłot dzielący jego ogród od ogrodu sąsiada jest rzeczą nietykalną. Wręcz przeciwnie, w Moskwie uważają, że pod takim płotem wolno robić podkopy, w samym płocie dziury i — co ważniejsze — urządzać się swobodnie nie tylko w ogrodzie, ale w samym domu sąsiada.

Jeśli mimo to kierownik oficjalnej polityki brytyjskiej ponawia odrzucane zaproszenia, to jest to dowodem, że polityka ta nie odeszła od zasady utrzymania status quo w Europie i poza nią.

SPRAWA BERLINA

Obrady Narodów Zjednoczonych w Paryżu przypominać zaczynają najgorsze czasy Ligi Narodów z okresu jej upadku. W gruncie rzeczy najważniejsza sprawa, to jest spór Anglosasów z Sowietami o Berlin, nie ruszyła z martwego punktu. Robi wrażenie, iż obie strony zgodne są w tym, by zasadniczą rozprawę możliwie odwlec i uzyskać kilka miesięcy czasu.

Wszyscy zdają sobie sprawę z tego, że każda uchwała potępiająca politykę sowiecką będzie zawetowana w Radzie Bezpieczeństwa, a jej znaczenie będzie zależało od tego, jak zechce ją wykorzystać Ameryka. Tymczasem polityka amerykańska pochłonięta jest całkowicie nadchodzącymi wyborami Prezydenta, wskutek czego polityka międzynarodowa jest niejako w zawieszeniu do pierwszych dni listopada.

W samym Berlinie trwają drobne i nieprzyjazne manewry, a Sowiety hermetycznie izolują od lądu i wody zachodnią połowę miasta okupowaną przez Amerykanów, Anglików i Francuzów.

PRZEOBRAŻANIE SIĘ IMPERIUM

W Londynie odbyła się konferencja premierów państw Brytyjskiej Wspólnoty Narodów. Konferencja poświęcona była głównie najpilniejszym zagadnieniom gospodarczym i wojskowym. Chodzi przecież o takie sprawy, jak uzgodnienie polityki wobec wykorzystania planu Marshalla, przemyślenie wielkiej akcji migracyjnej przemysłu i ludności w obrębie Commonwealthu, przygotowanie do wojny, która może nadejść szybko.

Pod tymi zagadnieniami leży także zasadnicza kwestia ustrojowa. Na zewnątrz wyraża się ona szczegółami w rodzaju tytułu króla na nowych monetach, stanowiska i tytulatury przedstawicieli dyplomatycznych poszczególnych państw Wspólnoty, narastającym sporem indyjsko-afrykańskim. Szczegóły te są jednak tylko objawami całkowitej przemiany, jakiej ulega Imperium Brytyjskie.

Przemiany te zapewne nie znajdą uroczystego i pełnego wyrazu prawnego, bo duch prawa angielskiego nie znosi definicji i kodyfikuje tylko to, co już koniecznie musi być skodyfikowane. Postanowienia ustrojowe Wspólnoty Brytyjskiej bardziej są zawsze podobne do uchwał Rady Nadzorczej jakiegoś koncernu, niż do konstytucji podejmowanych przez europejskie zgromadzenie prawodawcze. Jednakże są to przemiany podstawowe. Brytyjska Wspólnota Narodów, wprowadzona w życie w miejsce dawnego Imperium Brytyjskiego przez Statut Westminsterski po pierwszej wojnie światowej, zamienia się w naszych oczach w coś znowu nowego i całkiem innego.

Imperium Brytyjskie sprzed Statutu Westminsterskiego było mocarstwem kolonialnym, rządzonym z Londynu i podległym Anglii. Poza metropolią składały się na nie dwa rodzaje obszarów: kolonie o ludności kolorowej, rządzone arbitralnie z Whitehallu, i kolonie „białe", posiadające szeroką autonomię i tytuł dominiów, czyli posiadłości zamorskich Korony. Pierwsza wojna światowa usamodzielniła dominia faktycznie. Powstały w nich przemysł i zaczątki flot. Statut Westminsterski usankcjonował samodzielność dominiów, przyznając im stanowisko w zasadzie równe metropolii. Pozostała więź formalna w postaci wspólnego monarchy, więź gospodarcza w postaci Londynu jako bankiera Wspólnoty i więź wojskowa w postaci floty brytyjskiej, jedynej gwarantki niepodległości i bezpieczeństwa zamorskich państw brytyjskich. Łączyła je wszystkie najtrwalsza może więź kulturalna: wspólnota języka, tradycji, sposobu myślenia, literatury.

Od czasu Statutu Westminsterskiego zaszły daleko idące zmiany w stosunkach państw brytyjskich pod każdym względem. Wystarczy wymienić takie fakty, jak przekształcenie Irlandii z dominium w samodzielną republikę, nie powiązaną prawie żadnymi więzami prawnymi ani kulturalnymi z resztą Imperium, a pozostającą w jego obrębie tylko pod względem gospodarczym. Zachowanie przez też Irlandię neutralności w wojnie decydującej o losie Brytanii. Upadek Londynu jako centrum finansowego świata i przejęcie tej roli w dużej mierze przez Nowy Jork. Przejęcie w czasie drugiej wojny światowej roli obrońcy dominiów z rąk floty brytyjskiej przez flotę i lotnictwo Stanów Zjednoczonych. Wzrost roli ludności języka francuskiego w Kanadzie (symbolicznie niejako na obecnej konferencji funkcje przedstawiciela Kanady po p. Mackenzie Kingu przejął St. Laurent). Osłabienie stanowiska metropolii przez wycofanie się z Birmy, Egiptu, Palestyny. Powstanie dwóch „kolorowych" dominiów: Indii i Pakistanu (z których każde pod względem ludności przewyższa znacznie metropolię, a Indie przewyższają wszystkie „białe" państwa Wspólnoty razem wzięte). Wreszcie zwycięstwo wyborcze nacjonalistów burskich (Afrykanderów) nad Brytyjczykami w Unii Południowo-Afrykańskiej (premier afrykański, Ma'an, nie przybył na konferencję).

W sumie w skład Commonwealthu wchodzą obecnie cztery państwa czysto brytyjskie: Zjednoczone Królestwo, Północna Irlandia, Australia i Nowa Zelandia, dwa państwa półbrytyjskie: Kanada i Południowa Afryka, i cztery państwa niebrytyjskie: Eire, Pakistan, Cejlon i Indie. Wspomnieć jeszcze należy o niepełnych dominiach, jak np. Południowa Rodezja. Jedno z wymienionych państw jest republiką (Irlandia), w innych (Południowa Afryka, Indie) są silne tendencje republikańskie.

Na naszych oczach dokonywa się jedyny w dziejach eksperyment. Bywały wielkie imperia i rozpadały się. Nie było dotąd takiego, które by potrafiło z równą elastycznością i przy zachowaniu siły przystosować się do zmieniających warunków. Anglicy są empirykami. Bunt kolonii amerykańskich i powstanie Stanów Zjednoczonych w XVIII wieku posłużyło im jako zasadnicza lekcja. Odtąd polityka angielska była tak prowadzona, by uniemożliwić bunty przez zapobieganie zawczasu przyczynom fermentu. Wydawało się to zrozumiałe dopóki chodziło o kraje kolonistów brytyjskich. Świat zewnętrzny zaczął przecierać oczy, gdy tę samą zasadę zastosowali Anglicy do krajów ludności niechętnej. Uszanowanie neutralności Irlandii w czasie wojny było jakby zapowiedzią; niepodległość Indii najśmielszym posunięciem; mianowanie przedstawicielami Korony tubylców uwieńczeniem planu. A wszystko to odbywało się bez żadnych teorii i niemal bez formuł prawnych.

Trudności nowego systemu, opartego już nie na wspólnej tradycji, centralnych finansach i obronie, lecz na interesie gospodarczym i politycznym poszczególnych członków Wspólnoty, leżą już dziś nie w stosunku dominiów do metropolii, lecz w stosunkach między dominiami. Do dawnego, mimo wszystko lokalnego sporu między Północną a Południową Irlandią doszły większe i groźniejsze spory między Indiami a Pakistanem, między Indiami a Południową Afryką w sprawie Hindusów afrykańskich. W tym nowym układzie rola polityki brytyjskiej zarysowuje się inaczej niż dotychczas. Prawdopodobnie rolą tą będzie w pierwszym rzędzie pośredniczenie między państwami Wspólnoty w ich sporach i kłopotach.

Z drugiej strony wojskowe i gospodarcze ciążenie części tych państw ku Ameryce powodować musi coraz większe zbliżanie się polityki angielskiej do amerykańskiej. Z ducha tej polityki wynika, że będzie ona przystosowywała się do okoliczności i wykorzystywała je bez formalnego wiązania się, bez deklaracji, kroków nieodwołalnych i bez okreś-

lania jasnego swego stanowiska nawet na wewnątrz. Za kilkadziesiąt lat Imperium Brytyjskie będzie zapewne znowu czymś zupełnie innym niż jest dzisiaj.

DRUGA LINIA

Masowa czystka polityczna w Polsce, komentowana przez prasę zachodnią, ma jeden rys szczególny, którego nikt na Zachodzie nie podkreśla, bo nikomu tutaj w głowie się nie mieści, że żadnego życia politycznego w tutejszym tego słowa znaczeniu w Polsce pod reżymem Bieruta nie było i nie ma. Tak zwane partie polityczne, w okresie Komitetu Lubelskiego i „rządu jedności narodowej" zwane „czterema głównymi partiami politycznymi Polski", nosiły tę nazwę tak długo, jak to było potrzebne do podwójnego bałamucenia: Zachodu i samych Polaków. Jeden jedyny wyjątek w postaci Polskiego Stronnictwa Ludowego, biorącego przez pewien czas udział w reżymie komunistycznym, szybko przeszedł do historii. Historia to smutna przede wszystkim dla samego PSL, którego ujawnione szeregi Bezpieka radykalnie przerzedziła. Dziś odbywa się w kraju epilog mistyfikacji, nazywanej „wachlarzem stronnictw politycznych". Na placu zostaje to, co było u narodzin reżymu komunistycznego w Polsce — PPR, kierowana przez agentów moskiewskich, wśród których ogromny procent stanowią ludzie nie mający nic wspólnego z Polską.

Obecna czystka w organizacjach typu dekoracyjnego jest brutalnym postawieniem sowieckiej kropki nad i. Żeby się nikomu w Polsce nie wydawało, że jest jakakolwiek inna droga prócz drogi WKP (b). Październik — „miesiąc przyjaźni polsko-radzieckiej" dobitnie to wszystkim tłumaczy.

Ma ten proces swe bezpośrednie przyczyny w przyśpieszonym tempie rozwoju wydarzeń międzynarodowych, o czym „Myśl Polska" pisała w numerze poprzednim. Ma jednak — naszym zdaniem — także inne, bardziej ukryte przyczyny z zakresu długofalowego. Komunizm bowiem, opierając się na Rosji Sowieckiej, musi jako jedną z przewidywanych możliwości przyjąć i ryzyko przegranej Rosji Sowieckiej jako organizmu państwowego. W rachubach tych i przewidywaniach należy wobec tego zmniejszyć ryzyko k o m u n i z m u, materializmu dialektycznego, całego myślowego i teoretycznego dorobku linii Marksa-Lenina-Stalina. Przegrana tego kierunku w rozwoju świata oznaczać może tylko zwycięstwo spirytualizmu, zwycięstwo chrześcijaństwa. Trudno jest stwierdzić na pewno, skąd i przez jaki ośrodek montowana jest akcja długofalowego oporu komunistycznego na wypadek przegranej Sowietów. Jedni będą doszukiwali się ośrodka trockistowskiego na Zachodzie, inni jakiejś wydzielonej „szóstej kolumny" wewnątrz centrali komunistycznej. Tak czy inaczej, zarówno w Rosji jak we wszystkich państwach rządzonych obecnie przez Rosję, ośrodki długofalowego oporu muszą być przygotowywane. Rozgrywka komunizmu ze światem zachodnim na pewno nie zakończy się teatralnym gestem samobójczym w jakimś ostatnim bunkrze. Będzie — po pewnym okresie przycupnięcia — prowadzona dalej przez inne zespoły, wyszkolone w robocie niewidocznej.

Warto z tej strony spojrzeć na wszelkie ostentacyjne „czystki polityczne". Mogą one bowiem zawierać i tę część zabiegów komunizmu: montowanie drugiej linii, wycofanie pewnych ludzi pod pozorem ich „burżuazyjnych" czy „nacjonalistycznych" odchyleń. Zanadto podejrzanie wygląda propaganda dokoła takich postaci jak Gomułka a ostatnio Borejsza, propaganda ich „patriotyzmu" czy „narażania się". Ludzie, którzy raz w życiu wybrali drogę przeciwko swemu narodowi, którzy na tej drodze tyle już za sobą zburzyli, nie zmieniają się dlatego tylko, że im się „sumienie odezwało". Zarówno Gomułka jak i Borejsza, a z nimi niejeden mniej znany, to nie polityczni nowicjusze. Ktokolwiek — tak jak oni — patrzył na los setek tysięcy Polaków pod okupacją sowiecką, ktokolwiek przyczyniał się do deportacji, likwidowania ludzi niewinnych, wśród nich kobiet i dzieci — nie może być podejrzewany o czułostkowość.

Publiczna anatema na komunistów, tak niedawno zajmujących kierownicze stanowiska w partyjnej organizacji i w jej robocie ideowej, może mieć nie tylko względy doraźne, wewnętrznego przetasowania partyjnego, lecz także i ten wzgląd, montowania d r u g i e j l i n i i.

Plany te nie są tak zupełnie pozbawione szans i możliwości działania rezerwowych grup w przyszłości. Jak dotychczas utrzymuje się wśród pewnych kół na Zachodzie pogląd, że narody centralnej i wschodniej Europy nie bardzo rozumieją, co to jest wolność polityczna, że tej wolności trzeba ich nauczyć, a tymczasem zainstalować ad hoc zespoły rządzące. W poszukiwaniu takich zespołów może ktoś sięgnąć do przyszłych „dobrych" komunistów, tych, których bolszewicy pozbyli się w swoim czasie dlatego, że itd. Korespondencje niektórych dziennikarzy anglosaskich z Warszawy już dziś podbudowują legendę Gomułki jako dobrego patrioty, dodając, że pewien absolutyzm, dyktatura i totalizm właściwie nie mają nad Wisłą większego znaczenia, ponieważ tam „zawsze rząd i naród żyły życiem oddzielnym". Takich „dobrych" komunistów namnoży się na pewno w przyszłości.

Rzeczą polityki polskiej i polskiej opinii będzie dopilnowanie, żeby na terenie naszego kraju czy w polskim życiu politycznym nie przechowała się druga linia obronna światowego komunizmu. Wypróbowaną bronią komunistów jest podstęp i maskowanie się w społeczeństwie. Trzeba w tej dziedzinie wyrobić świadomość metod przeciwnika, wyobraźnię podstępu.

Są to wszystko — powie ktoś — rzeczy bardzo teoretyczne i bardzo odległe. Możliwe. Polityka jednak musi być nie tylko sumą odruchów, demonstracji i wysiłków w kierunku zdobycia czy zabezpieczenia władzy; musi być przede wszystkim wykreśleniem linii rozwoju narodowego. Na tej linii czeka nas nieunikniona rozprawa z komunizmem, która może przetrwać nawet rozgrywkę z nieprzyjacielskim organizmem państwowym.

STRONNICTWA CZY TOTALIZM?

Od dłuższego czasu w społeczeństwie emigracyjnym pewne koła zaczęły odgrzewać propagowaną niegdyś szeroko w Polsce przez sanację nagonkę na stronnictwa polityczne i propagowanie swoistego „apartyjnictwa". Propaganda ta, początkowo szerzona głównie ustnie, przedostała się także na łamy prasy.

Tygodnik „Orzeł Biały" drukować zaczął listy swoich czytelników na temat partii politycznych i ich oceny. Większość tych wypowiedzi była powtarzaniem w naiwnej formie starych sanacyjnych programów. Z zasadniczym atakiem na stronnictwa wystąpił na łamach „Wiadomości", we właściwy sobie dramatyczny sposób, p. Zygmunt Nowakowski.

Wywołało to reakcję ze strony czytelników tych pism. Błahość argumentów antypartyjnych wykazał w liście do redakcji „Orła Białego" p. J. Płoski, pisząc m.in.: „Jak dla życia człowieka potrzebne jest oddychanie, tak dla życia narodu potrzebne jest życie polityczne. Nie ma sporów ani „partyjnictwa" tylko tam, gdzie naród zamiera".

Na argumenty p. Nowakowskiego odpowiedział w liście do „Wiadomości" p. Tadeusz Borowicz. W zakończeniu swego pisma mówi on: „Czy stronnictwa są fikcją okaże się pewnie dopiero w całej pełni, gdy będziemy w Polsce wolnej od komunistycznego okupanta, jak również okaże się wtedy, które stronnictwa emigracyjne będą fikcją w normalnych warunkach w kraju. Ale wydaje mi się, że jeśli zasadę stronnictw będziemy odrzucali na emigracji, utorujemy drogę do tego, by w przyszłej Polsce istniał dylemat: monopartia lub anarchia".

Wreszcie i redakcja „Orła Białego" piórem p. Andrzeja Tomickiego stwierdziła konieczność opierania życia politycznego na stronnictwach, o ile się chce uniknąć dyktatury. Dylemat wskazany w liście p. Borowicza, ujmuje p. Tomicki w słowach następujących: „Kto więc nie chce totalizmu, musi się zgodzić na istnienie i na działalność stronnictw politycznych. Musi on też zdać sobie sprawę z tego, że stronnictwa polityczne będą z sobą walczyć i że każde z nich starać się będzie przekonać naród o słuszności swoich żądań i swych zapatrywań".

Rzeczą normalną i zdrową jest krytyka postępowania takiego czy innego stronnictwa zarówno przez inne stronnictwa jak i ludzi niezrzeszonych politycznie. Jednakże kwestionowanie samej zasady stronnictw jako podstawy życia politycznego zdradza istotne zamierzenia tego rodzaju krytyków w postaci dążenia do tak czy inaczej nazwanej dyktatury.

WIĘCEJ OGLĘDNOŚCI

Od kilku miesięcy ukazuje się w Londynie w języku angielskim dwutygodnik „Polish Fortnightly", przeznaczony do informowania Anglików o sprawach polskich. Z zadowoleniem stwierdzić trzeba, że poziom tego pisma ostatnio znacznie się podniósł i że ma ono wszelkie dane po temu, by spełniać z pożytkiem nakreślone sobie zadanie. By jednak to nastąpiło, konieczne jest usunięcie pewnych istniejących jeszcze braków i niedociągnięć.

Dotyczy to szczególnie ukazującego się w każdym numerze przeglądu prasy polskiej. Wydaje nam się, że dobór zamieszczonych w tym przeglądzie wy-

jątków nie zawsze dostatecznie liczy się z psychologią czytelnika angielskiego.

Tak np. w ostatnim numerze na czele przeglądu spotykamy streszczenie notatki w sprawie b. ministra Edena, która pojawiła się w jednym z polskich tygodników. Notatki tego typu, o charakterze osobistych ataków, mają naszym zdaniem efekt ujemny. Dostają się one do wiadomości odnośnych osób i przyczyniać się łatwo mogą do dalszego jeszcze pogłębienia niechętnych nam nastrojów. Rezultat może tym bardziej szkodliwy, im większe dana jednostka posiada czy też posiadać może w niedalekiej przyszłości wpływy polityczne. Trzeba bronić wobec obcych praw Polski jak najbardziej stanowczo i odpierać wszelką możliwą argumentacją i praktycznymi posunięciami politycznymi działania nam szkodliwe, — natomiast unikać należy emocjonalnych odruchów, mogących wywoływać tylko dalsze zadrażnienia i utrudniających przez to działanie polityczne. Musimy bardzo uważać, byśmy się w oczach obcych nie zredukowali do poziomu gromady szlachetnych, ale zupełne psychicznie roztrzęsionych neurasteników, którzy potrafią tylko wyrzekać i przeklinać i z którymi żadnej polityki robić nie można.

Tym bardziej rzeczy i epitety tego rodzaju nie powinny być reprodukowane na łamach „Polish Fortnightly". Tłumaczenie tego dążeniem do dawania czytelnikom angielskim **an unbiased picture of the Polish press abroad** nie może być uznane za wystarczające, skoro ogólny wynik jest sprzeczny z samym założeniem i celem pisma.

W ogóle dobór wyjątków w przeglądzie prasy wskazuje na tendencję do dawania materiału przede wszystkim anegdotycznego i „lekkiego". Jest to w pewnym stopniu usprawiedliwione—pod warunkiem liczenia się w każdym wypadku z prawdopodobnym echem drukowanych wyjątków, oraz pod warunkiem, że uwzględniony będzie również — i to w dużo szerszej mierze — materiał poważniejszy. Nie wydaje nam się, jak dotąd, by równowaga ta była zachowana i by uzyskiwany w rezultacie obraz emigracyjnej prasy polskiej był wierny.

Inny przykład. W nr 17 „Polish Fortnightly" ukazało się krótkie streszczenie artykułu o stanowisku Benesza wobec Polski. Obawiamy się poważnie, że z przytoczonych tam niektórych opinii polityków polskich i czeskich czytelnik angielski może odnieść wrażenie, że Benesz miał pod wielu względami rację. Cała sprawa zupełnie, naszym zdaniem, nie nadaje się do krótkiej sprawozdawczej notatki.

Podobnie wątpliwość budzić musi podanie krótkiej wiadomości o proteście organizacji polskich w Niemczech zachodnich przeciw oskarżaniu DP-sów przez prasę niemiecką o działalność czarnorynkową. Przed podaniem takiej wiadomości należałoby zamieścić artykuł, wykazujący jak niesłuszna jest opinia wyrobiona DP-som nie tylko przez prasę niemiecką, ale także przez dzienniki krajów Zachodu, które od kilku lat ustawicznie zamieszczają wiadomości o wyrokach skazujących DP-sów i wyciągają z tego krzywdzące wnioski natury ogólnej. W przeciwnym razie wielu czytelników brytyjskich gotowych jest pomyśleć, że kto wie czy słuszność nie jest jednak po stronie niemieckiej.

Mamy nadzieję, że na przyszłość redakcja „Polish Fortnightly" będzie ostrożniejsza w doborze wyjątków prasowych i drobnych wiadomości, pamiętając, że pismo to przeznaczone jest dla czytelników obcych, a nie dla Polaków.

WOJCIECH WASIUTYŃSKI

PAX AMERICANA?

ZARZUT, że Polacy nie są realistami jest niesłuszny i krzywdzący jeśli idzie o ich stosunek do Sowietów, bo, jak wykazano to już w prasie polskiej setki razy, właśnie nasz opór przeciw ugięciu się przed polityką Kremla był przejawem realizmu politycznego, a ugodowa polityka, bez względu na to czy prowadził ją Mikołajczyk, Benesz lub Churchill, była przejawem **wishful thinking**, krótkowzroczności i małoduszności, odległych niezmiernie od prawdziwego realizmu.

Ale jeżeli zarzut braku realizmu jest niesłuszny w stosunku do polityki rządu polskiego i postawy społeczeństwa wobec Sowietów, nie znaczy to, że nie jest on słuszny w odniesieniu do postawy politycznej bardzo wielu Polaków. Zarzut ten łatwo było postawić niesłusznie, gdyż uprzednio Polacy wyrobili sobie nawet u życzliwych cudzoziemców opinię ludzi nierealnie myślących. I znowu przyczyna tego nie leżała, a przynajmniej nie leżała głównie, w tym, że jesteśmy mniej zmaterializowani niż społeczeństwa Zachodu, bardziej gotowi do ofiar, bardziej bezpośrednio patriotyczni. Chociaż zmaterializowanie i egoizm posunięte są na Zachodzie bardzo daleko, przecież społeczeństwa te wychowane są, przynajmniej platonicznie, w tradycji ofiarności patriotycznej i nieprawdą jest, że ofiarność taka wzbudza w nich politowanie. Przeciwnie, budzi ona, mimo wszystko, szacunek, i nasz popędliwy patriotyzm nie zyskałby nam opinii ludzi nierealnych. Tym, co nam tę niepochlebną opinię w rzeczywistości urobiło, tym, co jest ziarnem prawdy w owej ujemnej ocenie naszych zdolności politycznych, jest nasze uciekanie przed odpowiedzialnością w myśleniu, uciekanie w dziedzinę marzenia, przeskakiwanie myślą etapów pośrednich między istniejącym położeniem a celem, do którego dążymy. Fałszywy romantyzm polski jest po prostu lenistwem umysłowym.

Sienkiewicz kiedyś powiedział, że różnica między logiką męską a kobiecą polega na tym, że mężczyzna może twierdzić, że dwa i dwa jest pięć, kobieta natomiast powiada, że dwa i dwa jest lampa. Otóż Polak mówi, że dwa i dwa jest cztery, ale zapytany, ile jest cztery razy cztery, odpowie: „około dwudziestu". Wystarcza mu ogólna idea.

Taką ogólną ideą dla wielu jest obecnie przyszła jedność świata, czyli federacja światowa, jaka powstanie pod wpływem twórczego działania bomby atomowej. W tej perspektywie tracą dla nich znaczenie drobne spory graniczne z Niemcami czy Ukrainą (Rosja oczywiście już jest zatomizowana i nie graniczy). Kilka solidnych wybuchów i, jeżeli żyjemy, znajdujemy się w nowym całkiem świecie, rządzonym przez **World Government** demokratyczny i trzeba tylko, jak mówią Francuzi, **voir grand**. Ci z tego typu ludzi, którzy w ogóle czytają, znajdują potwierdzenie swych marzeń w broszurze bardzo zdolnego, ale bardzo płytkiego dziennikarza E. Reevesa „Anatomy of Peace". Suwerenne państwa się skończą, będzie jedna suwerenna ludzkość, granice między państwami staną się granicami między stanami, patriotyzmy narodowe wyschną jak niegdyś patriotyzmy prowincjonalne. Wszystko rozwiązane bez wysiłku umysłowego, a w głębi mózgu kapitulacja woli: „Będziemy musieli zrobić, co nam każą i nie trzeba się będzie wysilać umysłowo".

A tymczasem, jeżeli cokolwiek jest pewne w przyszłości, to to, że takiej jednolitej federacji świata nie będzie, przynajmniej za naszego życia. Rzeczywistość nie wygląda w ten sposób, że wśród narodów ziemi wzrasta poczucie jedności i solidarności, rodzi się patriotyzm globalny, wzbiera potężny ruch przeciw krępującym solidarnościom narodowym a za jednością polityczną świata i że ten potężny ruch zmusi rządy państw do rezygnacji i do unii. Nie. Żyjemy w epoce niebywałego napięcia nienawiści narodowych i solidarności patriotycznych. Państwa słabsze i średnio silne zostały już wyeliminowane z walk, pozostały dwa największe mocarstwa, jedno na Starym Lądzie, drugie na Nowym i każde ma zamiar złamać potęgę przeciwnika, choć jeszcze przed kilkunastu laty nie spodziewało się, że to właśnie będzie jego zasadniczy przeciwnik, i ustalić swoją przewagę na świecie. Chociaż skutkiem tej walki może być (jakkolwiek nie musi koniecznie) jedność polityczna świata, będzie to w każdym razie jedność nie przypominająca w niczym marzeń federalistycznych. I nie można tutaj rozumować, że jedność polityczna świata to jest „około dwudziestu". Piętnaście a dwadzieścia pięć, to bardzo poważna różnica.

Przed stu laty statyści, uczeni i poeci niemieccy marzyli o wskrzeszeniu Rzeszy. Planów było mnóstwo, wszystkie oparte na dobrowolnym zjednoczeniu, na ideach liberalnych, na jedności wszystkich organizmów politycznych języka niemieckiego. Nie zostało to urzeczywistnione. Z nastrojów jednoczących skorzystały dwa państwa najsilniejsze i współzawodniczące: Austria i Prusy. Prusy wygrały, ale nie wygrały zupełnie. Poza Rzeszą pozostały Austria i małe państewka, jak Luksemburg czy Liechtenstein. W obrębie Rzeszy państwa sojusznicze Austrii zostały albo zniweczone, jak Hanower, albo okrojone, jak Hesja. Wśród pozostałych Bawaria otrzymała bardzo daleko idącą samodzielność z odrębnym wojskiem i dyplomacją. Zamiast liberalizmu zapanował

w Rzeszy militaryzm. A przecież działo się to wszystko w jednym bądź co bądź narodzie, w atmosferze silnego dążenia do jedności, w obliczu zagrożenia interwencją obcą.

O ileż bardziej skomplikowane, niepewne i trudne byłoby jednoczenie świata rozbudzonych wrogości, świata wytrąconego z podstaw półwieczem największych wojen i rewolucji? Bombą atomową można zniszczyć dużą część świata, ale urządzić nią świata nie można. Świat urządzić mogą tylko ludzie przy pomocy rozumu i woli. Ludzi zdolnych do tego nie bardzo widać. Nie bardzo nawet widać narodu, który by był zdolny wydać z siebie aparat administracyjny, mogący naprawdę rządzić całym światem.

Z dwóch współzawodników do hegemonii światowej niewątpliwie lepiej przygotowani do roli rządców globu są Rosjanie. Mają gotową doktrynę opanowywania i utrzymywania władzy wbrew woli ludności, mają w każdym kraju przeszkolone i oddane sobie kadry agentów, mają nieporównany aparat propagandowy we wszystkich językach, obliczony na najszersze masy i na najbardziej uproszczone myślenie, mają wreszcie zupełną swobodę moralną, nie są skrępowani żadnymi wewnętrznymi otamowaniami w zdobywaniu i utrzymywaniu władzy. Przede wszystkim zaś mają zastęp ludzi wychowanych w jednej bezlitosnej szkole, dobranych świadomie i więcej wiedzących o świecie i psychologii niż jakikolwiek amerykański mąż stanu.

A jednak i oni potykają się o znacznie łatwiejsze problemy niż rządzenie światem. Nawet i im wyłamuje się jakiś Tito, staje okoniem jakaś Finlandia, spory w krajach podbitych odbijają się aż na Kremlu i powodują tam pośpieszne zgony. Są oni zdolni wywołać ferment w całej Azji i Europie, nie są zdolni urządzić całkiem po swej myśli połowy tych obszarów. Amerykanie — powiecie na to — to zupełnie co innego: oni będą rządzić nie wbrew woli ludności, ale za jej zgodą. Amerykanie rządzą już całą Ameryką. Rządy ich dla innych krajów amerykańskich są w sumie dobroczynne a ręka nieciężka. A jednak np. Argentyńczycy bardzo ich nie lubią, gen. Peron jest w oczach jankesów złem tolerowanym tylko z konieczności. A jednak z Chińczykami nie doszli do porozumienia. A jednak patrioci filipińscy poszli w czasie wojny na kolaborację z Japonią. Rządzenie innymi narodami nie jest rzeczą łatwą, a cóż dopiero tworzenie rządu światowego. Rozwiązanie proste i jednolite nie wyjdzie w żadnym razie.

Nie wiemy oczywiście, jak będzie wyglądała sytuacja w chwili, gdy ktoś będzie próbować urządzać świat kierowany z jednego ośrodka, ani jakie będzie miał możliwości i jakie ostateczne zamiary. Jednakże nie mamy prawa fantazjować: **Imperium Mundi** nie wyskoczy z niczego. Obaj kandydaci na jego organizowanie mają już swoje imperia i swoje systemy rządzenia nimi.

Imperium bolszewickie składa się z krajów sowieckich i z krajów jeszcze nie przetrawionych przez komunizm. Zachodzi między jedną a drugą kategorią dość poważna różnica. A przecież kraje nieprzetrawione są Sowietom geograficznie, a często i cywilizacyjnie, bliskie oraz stosunkowo słabe. Pokonanie Ameryki i jej sojuszników musiałoby spowodować powstanie jeszcze innych form i w wielu wypadkach jeszcze luźniejszego stosunku do Moskwy. Okupacja wojskowa całej kuli ziemskiej, w równie silnym stopniu jak dziś okupowana jest Europa Środkowo-Wschodnia, byłaby niemożliwa. Przeprowadzenie w jakimś wielkim i uprzemysłowionym kraju prawdziwej rewolucji komunistycznej powodować mogłoby trudności polityczne nieskończenie większe, niż kłopoty z Tito. Przypuszczać więc należy, że zwycięstwo Rosji nie oznaczałoby stworzenia światowych Sowietów, lecz tylko rozszerzenie obecnych Sowietów na państwa „demokracji ludowych", przekształcenie szeregu nowych państw w kraje satelickie, jeszcze nie przetrawione i zwiększenie fermentu, zamętu i rozkładu w krajach pozostałych. Zasadą bowiem imperializmu sowieckiego jest walka z narodem jako podmiotem historycznym, jako źródłem odrębnej kultury. Wynika stąd, że każdy naród musi być rozłożony i zniszczony, aż stanie się bierną masą etnograficzną, która przyjmie cywilizację sowiecką za swoją. W odleglejszej perpektywie istnieje nawet ideał jednego języka światowego i zaniku wszystkich innych. Zwycięstwo Sowietów, w którym sporo zmęczonych ludzi Zachodu powitałoby zły koniec, ale w każdym razie koniec przewrotów światowych, byłoby w istocie tylko pewnym etapem i wzmożeniem przewrotów. Musiałoby z niego wyniknąć świadome niszczenie i dezorganizowanie życia na ogromnych połaciach ziemi, tam wszędzie, gdzie mogłyby powstać ośrodki niezależne od Moskwy, choćby nawet te połacie były już poddane zwierzchnictwu sowieckiemu.

Imperium amerykańskie przedstawia się zupełnie inaczej. Amerykanie, choć starają się kierować narodami swej półkuli, uznają ich prawo do istnienia jako podmiotu historycznego, do wytwarzania własnej kultury. Amerykanie pilnują zasadniczych spraw wojskowych, komunikacyjnych i handlowych. Potrafią eksploatować dość bezwzględnie, nie gardzą różnymi formami kupowania ludzi. Do wewnętrznego życia politycznego wtrącają się mało. Rządy republik amerykańskich zmieniają się drogą rewolucyjną lub rzadziej legalną, dochodzą do władzy niekiedy ludzie bardzo Stanom niemili. Niektóre państwa półkuli zachodniej prowadzą politykę autarkiczną lub szowinistyczną, nawet konfiskują amerykańskie kapitały; jedne są nacjonalistyczne, inne komunistyczne. Wszystko to jest tolerowane, dopóki nie godzi bezpośrednio w jakiś szczególnie ważny interes życiowy Stanów Zjednoczonych. W stosunku do narodów Zachodniej Europy polityka Stanów jest jeszcze bardziej elastyczna i oportunistyczna. I nawet generał Franco woli na pewno opiekę „plutokratów" amerykańskich od opieki wielkiego sojusznika i przyjaciela śp. A. Hitlera.

Wprawdzie jakiś zwariowany wydawca z Chicago może żądać zamienienia Anglii, Szkocji i Irlandii w Stany amerykańskie, a jakiś cowboy może marzyć o zorganizowaniu świata w cywilizowane Stany i niecywilizowane Terytoria, ale politycy z Waszyngtonu wiedzą, że to robi się inaczej. Nie pragną oni także utrzymywać nigdzie na długo wojsk okupacyjnych. Gdy się ma w ręku całość produkcji bomb atomowych świata i prawie całość złota światowego, można być pewnym, że się będzie arbitrem w najważniejszych sprawach globu. Jeżeliby zaś upojeni zwycięstwem Amerykanie zaczęli wchodzić w detale urządzania świata, to zapewne zniechęcą się szybko. Zniechęcające raczej były dla nich doświadczenia dotychczasowe w Chinach, Niemczech, Palestynie.

Obok zasadniczej różnicy ideowej — w postawie wobec innych narodów — zachodzi między Ameryką a Sowietami jeszcze bardzo istotna w skutkach praktycznych różnica materialna. Rosja jest biedniejsza od świata, który chce zdobyć, Ameryka bogatsza. Przed Rosjaninem wyprawa na Zachód rysuje się jako możność użycia, a pojęcie podboju łączy się z pojęciem podniesienia poziomu swego życia. Jeżeli mówi, że **u nas wsio mnogo**, to wie, że to jest nieprawda. Perspektywa powrotu do domu budzi w nim uczucia mieszane. Amerykanin przeciwnie, jest przekonany, że w domu jest najlepiej, chce doń powrócić jak najprędzej, życie w Europie czy Azji wydaje mu się nędzne i w masie nie spodziewa się obłowić na wyprawie. Może chętnie rządziłby światem, ale ze swego domu, bez stałego pobytu za morzami. Toteż, gdyby Ameryka wygrała, widzielibyśmy zapewne w Europie dużo ludzi na żołdzie amerykańskim, ale bardzo mało Amerykanów.

Amerykańskie **Imperium Mundi** w żadnym razie nie oznaczałoby końca sporów terytorialnych i gospodarczych w Europie. Oznaczałoby tylko, że rolę arbitra w tych sporach, jaką dotąd pełniło kilka największych mocarstw, przejmą Stany Zjednoczone, jeżeli nie całkowicie, to w lwiej części.

Ludziom, którzy czytali Reevesa jako odtrutkę polecić można „The Struggle for the World" Jamesa Burnhama. Ten były trockista, sławny ze swej przejmującej materialistycznej analizy przemian społecznych w „The Managerial Revolution" (1941), jest bliski republikanom, ma też na nich spory wpływ intelektualny. Jego nowa książka ma charakter wojenno-patriotyczny. Odbiega niesłychanie od zimnej analizy w pierwszej. Łączy je tylko takie same bezkompromisowe nazywanie rzeczy po imieniu. Autor twierdzi, że mylił się przed kilku laty przypuszczając możliwość istnienia obok siebie paru wielkich obszarów państwowo-gospodarczych w świecie. Dodać tu należy, że wraz z Burnhamem mylili się pod tym względem i Roosevelt i Churchill. Bomba atomowa — powiada Burnham — rozwiała te złudzenia. Imperium może być tylko jedno. Dla świata lepiej, żeby było ono amerykańskie niż sowieckie.

Uzasadniając swoje wnioski rozprawia się bezlitośnie ze złudzeniami światowych federalistów w rodzaju Reevesa i niemożliwość Rządu Światowego uzasadnia równie mocno, jak konieczność zgniecenia Sowietów i ustalenia Imperium Amerykańskiego, które w końcowych rozdziałach nazywa eufemicznie „światową polityką demokratyczną".

Nasz wpływ na to czy i kiedy powstanie **Imperium Mundi** jest znikomy. Jednakże musimy być przygotowani ideowo na jego przyjście. Jeżeli jedynym na-

szym przygotowaniem miałaby być garść frazesów o światowej federacji i o wolnych z wolnymi i równych z równymi, byłoby bardzo niedobrze. Na tym niedoskonałym świecie zostalibyśmy na pewno sprzedani takim, co lepiej umieją dbać o swoje interesy.

Zasada równości w życiu międzynarodowym jest fikcją. Sprowadza się ona do usunięcia pewnych objawów zewnętrznych, jak składanie hołdu lennego lub precedencja ceremonialna. W społeczeństwie składającym się z milionów członków możliwe jest przeprowadzenie ogólnej zasady równości wobec prawa; w społeczności narodów, złożonej z ograniczonej liczby bardzo różnych pod każdym względem organizmów, zasada ta sprowadzić się musi do form zewnętrznych. Hasło wolności narodów, czyli niepodległości, też wymaga określenia —widzimy co z nim zrobiono w imperium sowieckim. Nie deklaracje o równości i wolności stanowić mogą zabezpieczenie interesów narodowych, ale uznanie przyrodzonych i niezbywalnych praw narodu. Z prawami tymi nie jest sprzeczne przekazanie przez narody — ale przez wszystkie w tym samym zakresie (i tu wchodzi w sposób realny zasada równości)—pewnych uprawnień państwa. Natomiast jest całkowicie sprzeczne z tymi przyrodzonymi prawami wkraczanie władz jednego państwa w sprawy wewnętrzne innego państwa. Oczywiście próby w tym kierunku ze strony państwa silniejszego w stosunku do słabszego zawsze będą dokonywane, chodzi jednak o to, by były one przez świat cywilizowany uznane za bezprawie i zło, a wówczas dla słabszego istnieją możność oporu i prawo koalicji przeciw nadużyciu.

Opracowanie teorii praw narodu w świecie cywilizacji chrześcijańskiej i propagowanie ich póki czas w świecie zachodnim byłoby rzeczą ważną i pilną, byłoby zadaniem dla intelektualistów polskich już na chwilę obecną.

W. ŁĘGOWSKI

DOKTRYNY A RZECZYWISTOŚĆ 1)

BRYTYJSKI KRYZYS GOSPODARCZY

NIE często zdarza się, że można obserwować z bliska zetknięcie się różnego rodzaju doktryn z realnym życiem. Właśnie dlatego doktrynerstwo często święci triumfy, że w oderwaniu od życia snuje swoje teorie, a ludzie naiwnie wierzą, że wszystkie te piękne rzeczy dadzą się urzeczywistnić.

Jeśli chodzi o doktrynę socjalistyczną, to właśnie tylko w Rosji Sowieckiej została ona zastosowana przez długi okres czasu, a i tam tylko w połączeniu ze straszliwym przymusem fizycznym i przy zaprzeczeniu wielu istotnych jej założeń. Od czasu jednak zakończenia wojny rozgrywa się na naszych oczach w W. Brytanii eksperyment socjalistyczny, co prawda bardzo stonowany i niepozbawiony tak charakterystycznego dla tego kraju **common sense'u**. Niemniej wiele ciekawych wniosków da się wyciągnąć i będziemy się starali w niniejszym artykule zwrócić uwagę na niektóre z nich, odnoszące się do dziedziny gospodarczej.

Sytuacja gospodarcza W. Brytanii jest obecnie pełna kontrastów. Ogólnie biorąc produkcja przemysłowa przekroczyła już poziom przedwojenny o 15 — 20%, co stanowi niewątpliwie znaczne osiągnięcie. Przypisać to należy przede wszystkim pełnemu zatrudnieniu całej ludności, wyrażającemu się we wzroście ilości zatrudnionych w stosunku do przedwojennej o prawie 900 tys. (nie można tu nie wspomnieć o roli odegranej przez Polaków) i równoczesnym spadku bezrobocia o blisko 1 milion osób. Tak samo produkcja rolna ciesząca się specjalnym poparciem rządu wykazuje znaczne nadwyżki w stosunku do okresu między wojnami. W roku bieżącym zbiory niektórych zbóż, a zwłaszcza kartofli, podwoiły się w porównaniu z r. 1939.

Również w dziedzinie społecznej mamy do zanotowania postępy. Panuje na ogół spokój na odcinku robotniczym i mimo szeregu uciążliwych strajków lokalnych (np. tegorocznego strajku robotników portowych w Londynie) nie powtórzyły się masowe strajki z lat następujących bezpośrednio po zakończeniu pierwszej wojny światowej.

To są dodatnie cechy obecnego położenia. Z drugiej jednak strony obserwujemy na każdym kroku braki i niedogodności. Najdotkliwsze są one w dziedzinie żywności, gdzie nie tylko trwa dotychczas ścisłe racjonowanie, ale nawet przydziały niektórych artykułów, jak np. sera czy bekonu, są niższe niż w czasie wojny. Poprawiła się ostatnio sytuacja w zakresie odzieży, ale i tu ciągle jeszcze obowiązuje system kartkowy, a pewne typy materiałów, w szczególności na ubrania męskie, znajdują się na rynku w bardzo ograniczonych ilościach. Racjonowaniu podlega w dalszym ciągu węgiel, a w związku ze zbliżającą się zimą oficjalnie wezwano do zmniejszenia zużycia elektryczności, zapowiadając możliwość przerw w dostarczaniu prądu. Wspomnieć jeszcze warto o pojawiającym się od czasu do czasu braku papierosów, a nawet do niedawna piwa. Wszyscy odczuwamy brak mieszkań mimo imponującego ruchu budowlanego.

Mamy także innego rodzaju niepokojące zjawiska. Otóż wiele przedmiotów pojawiło się wprawdzie masowo, np. przedmioty domowego użytku, meble, radioaparaty, różne przyrządy elektryczne, wyroby skórzane itp., ceny ich jednak są bardzo wysokie, przekraczające często dwukrotnie ceny przedwojenne, a w niektórych wypadkach dochodzące do ich wielokrotności.

Można się zatem zapytać, dlaczego przy zwiększeniu ilości pracujących i ogólnie biorąc większej niż przed wojną produkcji występują tak przykre braki, dlaczego „jest tak źle, skoro jest tak dobrze"?

Odpowiedź, moim zdaniem, brzmi: w dużym stopniu dlatego, że w okresie naturalnych powojennych trudności i bardzo niewyraźnej sytuacji politycznej zaczęto z doktrynerskim uporem i bez liczenia się z gospodarczymi możliwościami realizować pewne postulaty socjalistyczne sprzeczne z wymogami chwili. Labour Party w czasie wyborów w 1945 r. wystąpiła z wielu popularnymi hasłami i dziś w zetknięciu z życiem boryka się ciężko nie tylko z niezawinioną przez siebie spuścizną wojenną, lecz i własnymi obietnicami wyborczymi i brakiem zrozumienia mas, karmionych tak długo fałszywymi doktrynami.

Bezpośrednim skutkiem wojny jest konieczność odbudowy zniszczeń wojennych, które w takich ośrodkach, jak Londyn, Liverpool, Glasgow czy Coventry były poważne i objęły dziesiątki tysięcy domów, budynków fabrycznych, składów towarowych itp. Do tego dochodzą kilkuletnie zaległości w odnawianiu nieruchomości, linii kolejowych, urządzeń przemysłowych itd. Ciężkie też straty poniosła angielska flota handlowa, schodząc pod względem tonażu po raz pierwszy znacznie poniżej floty St. Zjednoczonych.

Najpoważniejsze jednak w skutkach były przemiany, które zaszły w brytyjskim bilansie płatniczym, czyli w rozrachunkach z innymi państwami, na co składają się jak wiadomo, głównie, po stronie dochodów: wpływ walut obcych za eksport towarów, za przewozy towarów i pasażerów przez własną flotę i za odsetki od ulokowanych za granicą kapitałów oraz pieniądze pozostawione w kraju przez zagranicznych turystów, a po stronie wydatków odwrotnie: zapłata za import towarów z zagranicy, za przewozy obcymi statkami itd. Otóż przed wojną W. Brytania posiadała stały deficyt w obrocie towarowym z zagranicą (tzw. deficyt bilansu handlowego) przywożąc blisko dwa razy więcej towarów niż wywożąc; deficyt ten pokrywany był bardzo znacznymi wpływami zarobionymi przez własną flotę handlową i odsetkami od kapitałów wypożyczonych innym państwom lub ulokowanych w zagranicznych kolejach, fabrykach itd. Był to typowy bilans kraju zamożnego, przywożącego tanie środki żywności i surowce z Imperium i krajów gospodarczo słabo rozwiniętych, a wywożącego gotowe produkty swego przemysłu, ponadto zaś żyjącego z bogactw nagromadzonych w XIX wieku. W okresie tym W. Brytania monopolizowała niemal produkcję przemysłową świata (Anglicy lubią mówić o sobie, że byli wówczas **the workshop of the world**), a zarobione nadwyżki lokowała za granicą pomagając zresztą tym do rozwoju gospodarczego innych krajów.

Po wojnie nastąpiła prawdziwa rewolucja, gdyż ceny żywności i surowców wzrosły znacznie więcej niż produktów gotowych, wskutek czego trzeba było obciąć import, — mamy tu wytłumaczenie braku takich artykułów, jak owoce kolonialne, herbata, sardynki lub tytoń. Z drugiej strony forsowano eksport, który jest obecnie prawie o połowę ilościowo większy niż w roku 1938. Cały szereg wyrobów przemysłowych przeznacza się niemal wyłącznie na eksport, jak np. samochody, maszyny, niektóre towary włókiennicze, whisky itp., i towarów tych jest na rynku wewnętrznym stosunkowo mało. Mimo tych ograniczeń i wysiłków deficyt obrotów towarowych z zagranicą wyniósł w roku 1947 przerażającą

kwotę 438 miln funtów. Do tego doszły nowe obciążenia typu powojennego, przede wszystkim w formie państwowych wydatków zagranicznych na utrzymanie wojsk w Niemczech, Grecji, na Bliskim Wschodzie, Malajach, oraz ogólne koszty okupacyjne Niemiec. Powstałej w ten sposób dziury nie można już było pokryć w tradycyjny sposób, gdyż znaczną część kapitałów posiadanych za granicą wydano w czasie wojny. Łączny deficyt obu lat powojennych (1946 — 1947) wyniósł miliard funtów i byłby spowodował bankructwo W. Brytanii, gdyby nie uzyskana zaraz po wojnie pożyczka amerykańska. Pożyczkę tę, która miała starczyć na co najmniej trzy lata, wydano w ciągu półtora roku i w sierpniu br. uratowano walutę funtową od katastrofy tylko przez zawieszenie wymienialności funta na inne waluty. W chwili obecnej pokrywa się deficyt nową pożyczką w ramach tzw. planu Marshalla; ekonomiści jednak zdają sobie sprawę z tego, że jest to tylko środek tymczasowy i że deficyt musi rychło zniknąć za pomocą dalszego poważnego wzrostu eksportu.

Niepewna sytuacja polityczna sprawiła, że wbrew pierwotnym nadziejom trzeba utrzymać siły zbrojne na poziomie o 100% wyższym niż przed wojną. Ostatnie zaś napięcie spowodowało rząd do decyzji zwiększenia produkcji sprzętu wojennego, co kosztować będzie dodatkowo około 50 miln funtów rocznie. Należy się obawiać, że wydatki tego typu będą miały raczej tendencję zwyżkową.

Ostatnim z kategorii wielkich obciążeń jest konieczność modernizacji znacznej części przemysłu brytyjskiego. Dziedzinę tę zaniedbano od dawna i już przed wojną przestarzałe urządzenia powodowały wysokie koszty produkcji, a towary angielskie nie wytrzymywały konkurencji niemieckiej, włoskiej i japońskiej. Bezpośrednio po wojnie brak wszelkiego rodzaju towarów w świecie był tak ogromny, że cena nie odgrywała większej roli. Dziś jednak, gdy pierwszy głód towarów na rynkach światowych został zaspokojony, walka konkurencyjna znów odżywa i produkt angielski będzie musiał ciężko walczyć o swój zbyt. Na pierwszy plan konieczności modernizacyjnych wysuwa się kopalnictwo węgla (o prymitywnych warunkach panujących w tutejszych kopalniach mogliby wiele już powiedzieć Polacy tam zatrudnieni), przemysł hutniczy i włókiennictwo. Przewiduje się, że w najbliższych latach trzeba będzie zainwestować w tych gałęziach produkcji łącznie przeszło pół miliarda funtów.

Zdawałoby się, że w opisanej sytuacji gospodarczej jedynym rozsądnym wyjściem byłoby zdwoić wysiłek całego narodu i przyciągnąć nieco pasa, by jak najprędzej wyjść z deficytów i braków łatanych pożyczkami, stanąć na własnych nogach, a potem dopiero pomyśleć o różnych reformach, prowadzących z reguły do zmniejszenia produkcji a zwiększenia wydatków. Niestety stało się inaczej — zamiast dbać o powiększenie bochenka dochodu narodowego zaczęto walkę o to, by wykroić z niego możliwie największy udział dla robotników zorganizowanych w potężnych związkach zawodowych, bez oglądania się na konsekwencje, które to pociągnie dla samego procesu wypiekania tego bochenka.

Przebiegowi tego doktrynalnego załatwiania zagadnień gospodarczych oraz skutkom stąd wynikającym poświęcona zostanie druga część niniejszego artykułu, która ukaże się w najbliższym numerze „Myśli Polskiej".

BOGUSŁAW MALINOWSKI

DOKOŁA WYBORÓW W AMERYCE

Nowy Jork, w październiku

STANY Zjednoczone w okresie przedwyborczym, obok kampanii propagandowej kandydatów i partii walczących o władzę, interesuje każde pociągnięcie dyplomatyczne Sowietów, głównie z uwagi na aktualną potrzebę znalezienia środka przeciw rosnącej groźbie — zwycięstwa komunizmu bez rozpoczynania wojny przez Rosję.

Z tej sytuacji usiłował znaleźć wyjście Truman, gdy samodzielnie wysłać chciał Vinsona, prezesa Sądu Najwyższego, do Moskwy. Tym samym motywem kierowani republikanie i przeciwnicy polityki Roosevelta ujawniają fakty z niedawnej przeszłości, które mają unaocznić społeczeństwu, jak nie należy postępować w polityce z Sowietami.

William C. Bullit, były ambasador USA w Moskwie i w Paryżu, ogłosił szereg oskarżeń pod adresem Roosevelta, który wbrew oczywistym dowodom posiadanym przez Departament Stanu, stwierdzającym dążenie Stalina do podboju świata, kierował się w praktycznych posunięciach politycznych przeświadczeniem, że skoro przyzna Stalinowi wszystko, czego on się domaga, Stalin nie odmówi współpracy międzynarodowej i komunizm wyrzeknie się podboju.

W 1948 r. dwa komitety Kongresu prowadziły dochodzenia w sprawie szpiegostwa i w sprawie przenikania komunistów do urzędów federalnych. Jeden z tych komitetów rychło zakończył działalność. Ciekawa była też przyczyna przerwy w zbieraniu dowodów przez komitet Senatu do badania celowości wydatków rządowych pod przewodnictwem senatora Homera Fergusona, republikanina z Michigan. Prezydent Truman mianowicie odmówił wydania dokumentów personalnych urzędników, podejrzanych o współpracę z Sowietami.

Znamienniejsza jeszcze jest zapowiedź ogłoszenia danych, zebranych przez komitet Izby Reprezentantów, które stwierdzić mają, że Sowietom wydano niekóre tajemnice obronne USA za wiedzą, lub przy biernej postawie b. prezydenta Roosevelta. Wśród poważniej obciążonych zarzutem współpracy z Sowietami znajdują się m.in.: Alger Hiss, generalny sekretarz konferencji w San Francisco, i Lauchlin Curie, bliski doradca Roosevelta, który stał na czele dwóch oficjalnych misji do Chin. Choć błędów rządów Roosevelta na ogół nikt w Ameryce nie broni — w przeciwieństwie do W. Brytanii, gdzie wciąż uważa się, że polityka ustępstw wobec Sowietów była słuszna, — to jednak demokraci niechętnie ujawniają tajemnicę „współpracy" ostatnich lat rządów Roosevelta z ZSSR. Ponieważ jednak ten etap polityki realizowany był przez demokratów, republikanie, korzystając z błędów obozu demokratycznego, usiłują zdobyć dla siebie poparcie w społeczeństwie.

Kampania wyborcza, pozwalająca na obszerniejsze omawianie możliwych środków zaradczych, wykazuje, że Stany Zjednoczone do rozegrania konfliktu z Sowietami nie są przygotowane. Bezradność w Paryżu reprezentantów Stanów Zjednoczonych, jedynego mocarstwa mogącego stanąć w obronie świata, jest kompromitująca. Wiadomo było z góry Stanom Zjednoczonym i Anglii, a niemniej i Francji, że żadna uchwała nie może powstrzymać Sowietów od parcia na Zachód. Pomimo to państwa te zdecydowały się na skierowanie konfliktu pod obrady Narodów Zjednoczonych. Wiedziano, że jeżeli zapadnie uchwała potępiająca Sowiety, nie będzie ona mogła być wykonana żadnym innym środkiem presji, jak tylko przemocą fizyczną, tzn. przy pomocy wojny. Gdyby zaś uchwała taka powzięta nie została, osłabienie Zachodu, rozbicie społeczeństw nie należących do bloku sowieckiego jeszcze bardziej zostałoby uwydatnione, a warunki rozwoju dla partii komunistycznych we wszystkich państwach dla przygotowania podboju „rozkładających się" organizmów zachodnich — stałyby się jeszcze pomyślniejsze.

Stany Zjednoczone mimo to udały się ze skargą do Narodów Zjednoczonych — bo nie miały innego wyjścia. Demokratom zależało chociażby tylko na odwleczeniu decyzji, a republikanie, biorący współudział w kształtowaniu polityki zagranicznej, w kunktatorstwie widzą jedyny sposób odwleczenia momentu ewentualnego konfliktu.

Gubernator Dewey całą kampanię wyborczą prowadzi pod hasłem walki o pokój. John Foster Dulles, prawdopodobny następca Marshalla na stanowisku kierownika polityki zagranicznej USA, widzi możność obronienia pokoju przez uporczywe trwanie w dotychczasowej nieustępliwości wobec Sowietów. Również i szef planowania w Departamencie Stanu, Kennan, uważa, że system komunistyczny, jeżeli nie wywróci się sam wskutek licznych trudności wew-

ZGON ZYGMUNTA WASILEWSKIEGO

W ostatniej chwili dowiadujemy się, że 25 października br. zmarł w Wiśle, przeżywszy lat 83, Zygmunt Wasilewski, b. redaktor „Słowa Narodowego", „Gazety Warszawskiej", „Myśli Narodowej", senator RP z ramienia Stronnictwa Narodowego, znakomity pisarz i krytyk.

Zmarłemu poświęcimy w następnym numerze obszerne wspomnienie.

nętrznych na jakie napotyka, to w każdym razie z biegiem czasu straci niebezpieczne dla zachodniej cywilizacji ostrze.

„Nieustępliwość" w dotychczasowej praktyce jest tym, czego pragną władcy Kremla. Zamiast zalecanego przez wojskowych doradców w Niemczech, a popieranego przez admirała Donovana dostarczania żywności dla Berlina pod osłoną konwoju zbrojnego — co przy ciągle podkreślanej przez amerykańskich i brytyjskich publicystów sowieckiej obawie przed wojną, odsłoniłoby raz wreszcie słabość sowiecką i otworzyło możliwości do „perswazji" dyplomatycznej, — z Waszyngtonu wysłano do Berlina Charlesa Bohlena . . . dla wysondowania „właściwych" zamiarów Sowietów.

Sowietom istnienie „napięcia" międzynarodowego jest potrzebne dla wzmacniania propagandy o „imperializmie zachodniego kapitalizmu". Istnienie takiej jak obecna sytuacji jest atmosferą cieplarnianą dla rozwoju partii komunistycznej. Tego, zdaje się, republikanie też nie rozumieją — przynajmniej z kampanii wyborczej tak należy wnioskować.

Partia republikanów nie jest lepsza ani gorsza od partii demokratów. Przyszłość będzie zależała od nielicznej grupy przewódców.

Partie polityczne stanowią nieodzowny wyraz amerykańskiego życia publicznego. Nieco odmienniej niż u nas pod pojęciem partii rozumie się w Stanach organizację obywateli, dających wyraz swym zamiarom i poglądom na przejawy życia publicznego w postaci głosowania, którzy przez swych reprezentantów w Kongresie i w najwyższych urzędach federalnych, przy pomocy aparatu-maszyny partyjnej, usiłują urzeczywistniać egoistyczne cele grup społecznych, a nawet jednostek. Historycznie w Stanach Zjednoczonych rozwinął się system dwupartyjny, ale od czasu do czasu pojawiają się „trzecie partie"; bywa to zwykle w czasach kryzysowych. Amerykanin partię swoją uważa ponadto za narzędzie realizowania swoich interesów prywatnych i lokalnych.

Oczywiście nie brak i filozoficznych przesłanek, przekonań i wierzeń, które poszczególne partie, poza dążeniami jednostek, usiłują urzeczywistniać. U federalistów, a dzisiaj republikanów, widzimy więcej uznania dla zasady przewództwa. Zwolennicy Partii Demokratycznej czy postępowej pokładają wiarę w masach. Organizacje partyjne czasami służą interesom stanowym, organizacjom robotniczym, związkom zawodowym, odrębnym prawom Stanów Południowych. Usiłowały także realizować zasady humanitarne, stosować prohibicję, stać na straży wolności absolutnej jednostki, obrony autochtonów. Istnieją także partie socjalistyczna i komunistyczna.

Partie w Ameryce uwzględniać muszą daleko idące kompromisy. Federalne kierownictwo partii musi starać się znaleźć drogę kompromisu między wytycznymi a interesami czy żądaniami partii stanowych. Pamiętać trzeba, że wybór prezydenta odbywa się na podstawie głosowania przez delegacje stanowe. Przy olbrzymich rozmiarach kontynentu, na którym znajduje się 48 stanów, centralne kierownictwo partii musi starać się pogodzić rozbieżne interesy lokalne w poszczególnych stanach i znaleźć ogólną linię polityczną partii. Obecna rebelia demokratów z południa przeciw programowi Trumana (civil rights dla Murzynów) jest przykładem wagi i trudności osiągnięcia kompromisu w ogólnej polityce partii.

Wielokrotnie potwierdziła się reguła, że zwycięska partia tylko wówczas wywiązywała się pomyślnie ze sprawowania rządów, gdy potrafiła rozwiązać nie tylko wewnętrzne trudności drogą kompromisu, ale i znaleźć kompromis między dążeniem własnym a dążeniem partii przegrywającej.

W okresie sprawowania rządów przez partię zwycięską partia przegrywająca nie znika, bo nie tylko służy interesom społeczeństwa jako opozycja, ale wskutek równoczesnego posiadania wpływu na ciała ustawodawcze poszczególnych stanów, na rządy stanowe przy pomocy gubernatorów, których zdoła przeprowadzić w wyborach, ma możność oddziaływania na rząd federalny. Wystąpienia na przykład Deweya jako gubernatora Nowego Jorku miały niekiedy niemniejsze znaczenie od tego, co powiedział prezydent Truman.

Różnice polityczne w ścisłym „europejskim" znaczeniu między jedną a drugą partią są minimalne. Tak u demokratów jak i republikanów spotykamy skrzydła skrajnie konserwatywne i lewicowe, a u demokratów także grupy komunizujące. Centralne kierownictwo partii nie może oponować przeciwko kandydatowi wysuniętemu przez partię jakiegoś stanu, a co za tym idzie, ma znaczne trudności personalne, jeżeli bez zgody federalnego kierownictwa partii partia w stanach wysunie swoich kandydatów. Wyrazić się to może nawet w przeciwstawieniu się oficjalnej linii partii, jak to miało miejsce ostatnio na przykładzie Wallace'a czy rebeliantów z południa.

W poszczególnych stanach partie, dla przyczyn nieraz bardzo egoistycznych, lokalnych, stawiają na swym czele ludzi, którzy wyrośli poza partią. Tacy leaderzy, o ile mogą wykazać się wynikami i osiągnięciami w życiu organizacyjnym, gospodarczym czy społecznym, wcale nie pytani o poglądy, powołani na czoło partii, nieraz stają się przyczyną trudności federalnego kierownictwa partii.

Niezależnie od funkcjonowania partii politycznych powstały w Ameryce organizacje, które prowadzą działalność polityczną, chociaż partiami politycznymi nie są. Organizacje takie, jak: „American Legion", „American Federation of Labour", „National Association of Manufacturers", związki plantatorów cukru, bawełny itp., stały się potężnymi grupami w walce o realizację interesów egoistycznych, choć zbiorowo pojmowanych, i zyskały legalnie uznane stanowisko w życiu publicznym. Wszystkie one uzależniają poparcie kandydata od jego zobowiązania się do poparcia interesów grupy, o której poparcie zabiega.

Takim prawidłom i warunkom działania każdej partii w USA podporządkowana jest partia republikanów. Jeżeli więc Dewey na czele Partii Republikańskiej obejmie rządy, będzie zapewne starał się znaleźć drogę do najlepszego pogodzenia różnych sprzecznych interesów w rozległej Ameryce. W interesie niewątpliwie całej Ameryki leży utrzymanie pokoju, pokoju jednak takiego, który by pozwalał na rozwijanie syste-

WACŁAW IWANIUK

PŁACZ

Nie wiem skąd przychodzi płacz, skąd przychodzi i czego żąda.
Kwiat śpiewa słońcu, a nami płacz kołysze.
Po kotlinach domy płaczą dymem, dym jest jak sina barka,
którą poganiają ludzie biczami ostrymi jak wiatr.

Tam, gdzie się lęgnie ból i oczy tropiące łzy,
dziecko na rzęsach nosi zawiedzioną wyobraźnię nocy.
Bo dziecko boi się życia, a wierzy we własne sny,
które nachodzą kołyskę, gdy dziecko przymyka oczy.

Matki patrzą spokojnie w nasz mały krajobraz wzruszeń,
mówią: synu mój, lub mówią: córko moja!
A kiedy płaczem w śnie modlitwa ich wargi porusza,
i słyszysz cichy szept; tak się o ciebie boję!

Boję się o twój ból, boję się o twoją radość.
O nadmiar słońca w twarzy, o nadmiar radości w oczach.
I ręce nam na czoło co chwila ciepłe kładą,
matki w bezsenne noce.

Nie wiem skąd przychodzi płacz: dlaczego łzy z oczu płyną?
Choć pierwszej młodości jeszcze tak mało, tak bardzo mało.
Matka wpatrzona w twarz szepcze nocami: mój synu,
powiedz czy coś cię boli? Co tobie nagle się stało?

Powiedz? — A cóż mam rzec, gdy życie u rzęs się spala,
jak motyl na pastwie blasków, które noc wrogo uśmierca.
Wiem, że mi w sercu rośnie kropla żrącego metalu,
więc płaczę, bo boli serce.

mu gospodarczego, który Ameryce odpowiada.

Jakie są szanse utrzymania pokoju i jak bliskie jest niebezpieczeństwo wojny — zależeć będzie od przekonania społeczeństwa amerykańskiego, że obecny stan „zimnej wojny" nie zapewnia już korzyści, jakich w czasach pokojowych zwykliśmy oczekiwać. Wśród republikanów jest więcej zwolenników inicjatywy prywatnej i zasad wolnej wymiany dóbr i współzawodnictwa. Obecne czasy nie sprzyjają tym cechom ustroju wolnej kapitalistycznej gospodarki. Można więc doszukiwać się tu pobudki dążenia ze strony republikanów do zmiany obecnego stanu rzeczy.

Stan wojny czy pokoju zależeć będzie także od polityki wojska, które zapewne wezwane zostanie do ustalenia kryterium, kiedy kończy się pokój, a zaczyna się wojna, choć technicznie wcale nie potrzebuje być ona wypowiedziana.

Co to jest wojna — wszyscy wiemy, ale popełniamy ten błąd, że określenie to łączymy ze zjawiskami walki doświadczonej w przeszłości. Jeżeli zaś rozpatrzymy zagadnienie wojny pod względem celów, jakie pragnie przy jej pomocy osiągnąć państwo prowadzące wojnę, — to stwierdzić wypada, że Sowiety wojnę już prowadzą, zdobywają jedną pozycję za drugą „zgodnie z planem".

Sowiety zmierzają do odebrania Zachodowi warunków do kontynuowania dotychczasowego bytu pod względem ustrojowym i gospodarczym. Równocześnie prowadzona walka ma obalić dotychczas uznane zasady filozoficzne, na których się porządek rzeczy na Zachodzie opiera. Stany Zjednoczone Ameryki Północnej są głównym przedstawicielem wroga, w zrozumieniu Sowietów, „Zachodu". Sowiety swoje zamierzenia osiągają różnymi sposobami, najchętniej bez wojny, w której występować by miały wojska sowieckie.

W obecnej fazie sowiecki system podboju świata zaznacza się na peryferiach zainteresowań amerykańskich, geograficznie odległych, przeto przed szerokimi masami Amerykanów ukryty jest w szczegółach. Mimo całej literatury na temat taktyki komunistycznej, Amerykanie zbyt wiele wagi przywiązują do utrzymania stanu „nie-wojny" w znaczeniu technicznym, a nie rozumieją zmian, jakie „zimna wojna" prowadzona przez Sowiety przynosi codziennie na niekorzyść Ameryki. Tylko nieliczne jednostki, stykające się szczególnie z zagadnieniem postępu Sowietów czy strat gospodarczych USA, widzą prawdziwy obraz faktycznie istniejącej wojny.

Ameryka nie posiada środków walki, którymi by mogła „w zimnej wojnie" pokonać Sowiety.

Partia komunistyczna istnieje w USA, gdzie ma możność działania. Nie ma „amerykańskiej" partii w Sowietach, nie ma odpowiednika Wallace'a czy pomniejszych ale wpływowe pozycje zajmujących działaczy w Sowietach, i nie będzie póki istnieć będzie komunistyczny system. Nie ma więc płaszczyzny, na której w „zimnej wojnie", a więc psychologicznie i propagandowo, Stany Zjednoczone mogłyby odpowiedzieć skuteczną kontrakcją.

Wniosek wydaje się być taki: od człowieka na stanowisku prezydenta USA, od jego zdolności zrozumienia nowego charakteru „wojny", jaką prowadzi komunizm w oparciu o zorganizowaną przemoc w Rosji Sowieckiej, będzie zależeć czy powtórzy się w dziejach Stanów niesławny okres Roosevelta, który był tak zgubny dla całej ludzkości.

GOSPODARCZY POTENCJAŁ NIEMIEC

Poniższy artykuł nadesłany nam z Niemiec, oparty jest na studiach materiałów gospodarczych niemieckich. Materiały te z natury rzeczy przedstawiają stan jak najbardziej pesymistycznie — w interesie niemieckim. Tym niemniej bez ich uwzględnienia niemożliwa jest prawdziwa ocena położenia gospodarczego Niemiec. Artykuł ten jest dla takiej oceny ważnym, choć nie ostatecznym, materiałem.

PRZEPROWADZONA reforma waluty w Niemczech, zwróciła znowu uwagę świata na ten kraj, który tyle nieszczęść i szkód przyniósł Europie i światu. Jeden z amerykańskich ekspertów gospodarczych badając stosunki gospodarcze w Europie w związku z planem Marshalla, stwierdził, że plan ów byłby niepotrzebny, gdyby zdolności produkcyjne przemysłu niemieckiego były w całości wykorzystane. To stwierdzenie może byłoby słuszne, gdyby przemysłowi niemieckiemu zezwolono ruszyć pełną parą tuż po klęsce wojennej i gdyby projektowana jedność gospodarcza Niemiec była rzeczywiście zachowana. W owym jednak czasie nikt o planie Marshalla nie myślał, przeciwnie w kursie był plan Morgentau'a, tj. zamiany Niemiec na tzw. Kartoffelland. Dziś, gdy po trzech latach okazało się, że Niemiec nie da się zamienić na kraj rolniczy, szuka się gorączkowo innego lekarstwa, które potrafiłoby, jeśli nie uzdrowić, to przynajmniej tak wzmocnić pacjenta, ażeby ten poruszać się mógł o własnych siłach.

Reforma waluty, która miała być właśnie jednym z takich środków, wykazała jak na dłoni całą społeczną i gospodarczą ruinę Niemiec. Okazało się, że nie można na pobojowisku, powstałym po politycznej i gospodarczej walce czterech mocarstw okupacyjnych, budować nowego życia tak nieskomplikowanymi pociągnięciami. Niemcy, rozdarte na cztery części, z których każda żyje własnym życiem i każda ma inne zadania, nie są zdolne do jakiejkolwiek samodzielności i ekspansji gospodarczej. Jeśli stan ten potrwa dłużej dotychczasowa struktura gospodarcza Niemiec ulegnie całkowitej dysharmonii.

W pierwszych latach okupacji istniała obawa, że poszczególne państwa okupujące Niemcy, będą rywalizować z sobą w pozyskiwaniu wpływów wśród Niemców drogą wzmożonej produkcji przemysłowej w swoich strefach. W świetle późniejszych wydarzeń obawy te okazały się nierealne i każde z tych państw rywalizuje raczej w gospodarczym wykorzystywaniu swoich stref. Może najbardziej wspaniałomyślną postawę zajmują A m e r y k a n i e. Najważniejszy zarzut, jaki im czynią Niemcy, to intensywne wykorzystywanie patentów niemieckich, przez co przemysł niemiecki posiada mniej szans na rynkach światowych. Wartość tych patentów, do których zresztą dostęp mają wszystkie inne państwa, obliczają Niemcy na 5 miliardów dolarów. Sami Amerykanie przyznają, że dzięki zastosowaniu patentów niemieckich zaoszczędzili dotychczas około 800 milionów dolarów. Jeśli Amerykanie niekiedy odnoszą się z rezerwą do sprawy niemieckiej, to podyktowane to jest bardziej względami politycznymi aniżeli gospodarczymi.

Stanowisko a n g i e l s k i e podyktowane jest głównie względami konkurencyjnymi. Anglicy przejęli np. cały aparat sprzedaży olbrzymiego koncernu I. G. Farbenindustrie oraz zdążyli się dobrze uplasować u dotychczasowych zagranicznych odbiorców niemieckich. Eksport ze strefy brytyjskiej składa się w 80% z surowców (węgiel i drzewo), nad czym najbardziej Niemcy boleją. Ogólna charakterystyka obydwu tych stref, to jak najdalej idące restrykcje eksportowo-importowe, mimo że naczelnym hasłem gospodarki niemieckiej jest handel zagraniczny, bez którego nie może być mowy o samowystarczalności gospodarczej Niemiec. Handel zagraniczny jest związany z takimi trudnościami, nawet formalnymi (I.E.A. — Import-Eksport-Agency), że w Niemczech istnieje tzw. wstręt do eksportu.

Stanowisko F r a n c j i charakteryzuje przede wszystkim dążność do zabezpieczenia sobie: a) dostawy węgla z zagłębia Ruhry, gdyż własne pokłady wystarczą jej najwyżej na okres życia jednego pokolenia, oraz b) dostawy koksu, niezbędnego do produkcji stali. Niemcy zarzucają ponadto Francuzom ich rabunkową gospodarkę w produkcji wina i wyrębie lasów.

Usprawiedliwieniem, jakie można by wyszukać dla R o s j a n przy dosłownym plądrowaniu ich strefy, jest pięcioletni plan gospodarczy. Do Niemiec przyjeżdżają armie monterów z Rosji i wywożą wszystko, co im się wydaje niezbędne dla wykonania planu.

Ponadto we wszystkich strefach dość rygorystycznie przeprowadzano demontaż urządzeń przemysłowych. Na liście demontażowej umieszczono przeszło dwa tysiące zakładów, mających być całkowicie lub częściowo zdemontowanymi. Gdyby plan ten został w całości wykonany, potencjał przemysłowy Niemiec zmniejszyłby się przynajmniej o 30% według najwyższego jego stanu z r. 1943. Nadzieją Niemiec jest zaprzestanie demontażu w związku z planem Marshalla. Członkowie delegacji amerykańskiej ustosunkowali się bardzo krytycznie do sprawy demontażu.

Niemcy określając zachowanie się okupantów w poszczególnych strefach porównują siebie, w opowiadanej sze-

roko anegdotce, do rybki, która wypadła z akwarium. Amerykanin przechodząc usunął rybkę na bok, Rosjanin rozdeptał ją nogą, Francuz zachował na kolację, Anglik natomiast podniósł ją pieczołowicie z ziemi i włożył z powrotem do akwarium. Stwierdziwszy że rybka odżyła, odszedł, odkręciwszy przedtem wypustowy kurek wodny.

W owym podziale Niemiec oraz różnym zachowaniu się władz okupacyjnych w poszczególnych strefach widzą Niemcy największe niebezpieczeństwo dla siebie.

Do dalszych momentów, które spowodowały upadek gospodarczy Niemiec zaliczyć należy przede wszystkim zmianę struktury ludnościowej, o czym zresztą Niemcy piszą jak najchętniej. Jednakże reforma waluty wykazała, że zmniejszenie się potencjału siły roboczej w Niemczech jest olbrzymie. Obawiano się np. bezrobocia. Okazało się jednak, że — wprost przeciwnie — jest poważny brak sił roboczych, a w szczególności fachowych, mimo dużego napływu uchodźców z wschodnich Niemiec. Na ogół w Niemczech przeważają stare roczniki, mniej wydajne w pracy. Na roczniki np. 25 do 35 lat przypada 10% ogólnej ilości mężczyzn, gdy przed wojną przypadało 18%. Przewaga kobiet w tych rocznikach wyraża się w stosunku 100 do 170. Jak wykazują dalej statystycy niemieccy, liczba ludności wykazywać będzie od r. 1953 tendencję spadkową i w r. 1980 wynieść może mniej aniżeli 40 milionów.

Dodając inne czynniki, jak: 1) straty w handlu zagranicznym, 2) odłączenie 22% terenów od Niemiec, 3) dezorganizacja, 4) reparacje, 5) straty wojenne, Niemcy obliczają ogólny spadek potencjału gospodarczego na 60% w porównaniu z r. 1938.

Opisany wyżej stan rzeczy, tj. podział Niemiec, zachowanie się okupantów w ich strefach, zmiana struktury ludnościowej i wymienione przed chwilą inne czynniki — spowodowały, że Niemcy, które były przed wojną co najmniej trzecią potęgą gospodarczą po Ameryce i Anglii, dziś pozostają daleko w tyle, nawet za Rosją i Francją. O ile inne państwa zdążyły osiągnąć poziom produkcji przedwojenny, a nawet w wielu wypadkach go przewyższyć (Anglia 120%, Ameryka 200%), Niemcom brak jeszcze 60% do osiągnięcia poziomu produkcji z 1936 r. Cóż znaczy niemiecka produkcja węgla — 70 milionów ton rocznie, gdy amerykańska wynosi 600 milionów ton, angielska 200 milionów; albo niemiecka produkcja stali — 3 miliony ton rocznie, gdy amerykańska wynosi 80 milionów ton, a angielska 15 milionów ton. Obecna nawet produkcja Polski, która była liliputem gospodarczym w porównaniu z Niemcami (produkcja węgla 8 razy mniej, produkcja stali 15 razy mniej) dotrzymuje kroku produkcji niemieckiej.

Również na terenie rynków światowych Niemcy spadły do roli nic nie znaczącego partnera. Przed wojną ich udział w handlu światowym wynosił 10%. Były one olbrzymim warsztatem, który sprowadzał surowce z zagranicy, przerabiał je i wywoził następnie w formie gotowych fabrykatów lub półfabrykatów. Eksport niemiecki w r. 1936 wyniósł około 4 miliardy RM. Niemiecki instytut handlu zagranicznego w Kiel oblicza, że Niemcy muszą wywozić obecnie towarów za 7 miliardów RM, ażeby mogły się same utrzymać. Osiągnięcie tak wysokiej sumy eksportowej może pozostać jedynie w sferze marzeń, gdyż wartość całej produkcji przemysłowej Niemiec za rok 1947 nie wyniosła więcej jak 12 miliardów RM, a Niemcy mogą normalnie wywozić 10 do 15% ogólnej produkcji. Dalej zachodzi pytanie, kto będzie od Niemców kupował. Czy świat, który bez mała osiem lat zapoznawał się z produkcją niemiecką w formie zrzucanych bomb, nie zdążył odzwyczaić się od równie doskonałych wyrobów niemieckiego przemysłu pokojowego?

Obecny bilans handlu zagranicznego Niemiec jest wybitnie ujemny. Państwa okupacyjne musiały dotychczas dopłacić na wyżywienie Niemiec około 2,5 miliarda dolarów. W planie gospodarczym na r. 1948-49 przewidziana jest suma przywozu na 2 miliardy dolarów, wywozu zaś na 700 milionów dolarów, czyli deficyt wyniesie 1 miliard 300 milionów dolarów. W r. 1947 łączny eksport wszystkich produktów wyniósł około 200 milionów dolarów.

Jakie są możliwości gospodarcze Niemiec na przyszłość? Życie poszło zupełnie innym torem, aniżeli wszelkie dotychczasowe plany gospodarcze i przemysłowe dla Niemiec. Przyczyną tego były zarówno nieznajomość psychiki niemieckiej, jak i zaszłe po wojnie zmiany w strukturze gospodarczej Niemiec. Budowa samych tylko mieszkań wymaga 30 lat, licząc po 300 tysięcy rocznie, przy czym koszty wyniosłyby 2 miliardy RM rocznie według cen z r. 1936 (w tym milion ton stali). Dla podniesienia poziomu produkcji rolniczej do stanu przedwojennego trzeba 5 do 8 lat. Podniesienie poziomu wydobycia węgla wymaga miliardowych inwestycji. Ponadto koszty wydobycia węgla są bardzo duże i węgiel w Niemczech jest subsydiowany. Niemcy znajdują się w impasie, gdyż rolnictwo nie może wydatnie pracować z powodu braku nawozów sztucznych i narzędzi, które produkuje przemysł. Przemysł nie może produkować, gdyż brak mu surowców. Ażeby Niemców z tego błędnego koła wyprowadzić, potrzeba miliardowych kredytów dolarowych.

Jest jednak rzeczą bardzą wątpliwą, czy Niemcy potrafią kiedykolwiek osiągnąć poziom produkcyjny przedwojenny. Potencjał gospodarczy, jakim Niemcy kiedyś rozporządzały, został obecnie w świetle nagromadzonych faktów, w znacznej części rozładowany. Niemcy muszą we własnym interesie zdobyć się jeszcze na znaczny wysiłek, jednakże możliwości ich są ograniczone. Niemcy nie potrafią obecnie dotrzymać kroku wyścigowi przemysłów innych państw.

Z. K.

Ś. p. JAN REMBIELIŃSKI

DRUGI tom „Historii Polski" Jana Rembielińskiego nie ukaże się . . .

Kto w przyszłości chciałby ocenić rolę Rembielińskiego na podstawie jego pierwszego tomu „Historii Polski" i opublikowanych przez niego w ciągu blisko trzydziestu lat artykułów, będzie miał obraz tylko częściowy i ocenę wyda niewystarczającą. Wymknie się mu bowiem niezwykle ważna, a może najważniejsza, strona działalności tego pisarza, mówcy i działacza, jaką był jego bezpośredni, żywy wpływ w rozmowie czy naradzie. Mnóstwo przyjętych przez młodsze pokolenie polskie opinii w najrozmaitszych dziedzinach kultury i polityki, mnóstwo sformułowań, a nawet powiedzeń pochodzi wprost od Rembielińskiego, albo też powstało pod wpływem rozmów z nim.

Okres największego wpływu Rembielińskiego przypada na późne lata dwudzieste i wczesne trzydzieste. Wówczas codziennie w jego mieszkaniu przy ulicy Brackiej zastać było można kilku ludzi: literatów, polityków, studentów. Zazwyczaj goście siedzieli, a gospodarz drobnym kroczkiem chodził po pokoju i mówił. Powstawały wtedy niezwykle błyskotliwe, a czasami i bardzo głębokie sformułowania. Rembieliński był o wszystkim poinformowany i na każdy temat miał oryginalny pogląd. Często pomagał sobie cytatem, wyciągając z szafy jakąś odpowiednią książkę. Gdy wymyślił jakiś dowcip, sam cieszył się z niego najwięcej. Chwytając gościa za ramię przekrzywiał głowę na bok, tak że niesforne włosy spadały mu na boki i trzęsąc się ze śmiechu powtarzał zakończenie wymyślonego żartu. Był on w tym okresie niejako żywym ośrodkiem intelektualnym ruchu narodowego, łącznikiem między najstarszymi i najbardziej znanymi, a najmłodszymi nawet i nieznanymi narodowcami. Przez mieszkanie na Brackiej przeszli w swoim czasie prawie wszyscy wybitniejsi narodowcy młodszego pokolenia. Dodać może jeszcze warto, że w przeciwieństwie do zaniedbanego wyglądu zewnętrznego tego pisarza, mieszkanko jego, w którym żył z matką i ciotką staruszką, urządzone było z najwyższym smakiem estetycznym przy zasadniczej skromności umeblowania.

Jan Rembieliński urodził się w roku 1897. Nazwisko jego wypłynęło po raz pierwszy jako jednego z szesnastu studentów, którzy zaprotestowali demonstracyjnie przeciwko generałowi Beselerowi przy otwarciu uniwersytetu warszawskiego. Większość młodzieży ówczesnej, będącej pod wpływami piłsudczyków i socjalistów, odnosiła się do Niemców w sposób mniej bezkompromisowy. Szesnastu demonstrujących stało się zalążkiem ruchu narodowego wśród młodzieży akademickiej. Utworzyli oni Koło im. Mochnackiego, którego Rembieliński był centralną postacią. Z tego Koła wzięło swój początek Narodowe Zjednoczenie Młodzieży Akademickiej, późniejsza Młodzież Wszechpolska. W roku 1918 Rembieliński jako delegat młodzieży narodowej jedzie na pierwszy zjazd ogólno akademicki do Lwowa. Zamiast brać udział w obradach bierze udział

w walce, gdy wybucha zamach ukraiński. W czasie obrony Lwowa zostaje ciężko ranny. Od tej pory ma częściowo bezwładną lewą rękę i wybite przednie zęby. Jest on później autorem pierwszej deklaracji ideowej Młodzieży Wszechpolskiej i redaktorem „Głosu Akademickiego", pierwszego pisma młodzieży narodowej.

W tych pierwszych latach niepodległości ruch narodowy wydawał się wielu ludziom czymś należącym niemal do przeszłości. Mimo bardzo licznych szeregów i wielkiej ilości zdobywanych głosów ruch narodowy nie posiadał młodzieży, która odeszła od niego w ogromnej większości w ostatnich latach przed pierwszą wojną światową. Rembieliński umiał nie tylko dojrzeć trwałe wartości ruchu narodowego, ale także zobaczyć go i pokazać innym od całkiem nowej strony, jako coś świeżego, rewolucyjnego i oryginalnego, dlatego wpływ jego w odwróceniu prądu i zdobyciu nadchodzących roczników studenckich dla idei narodowej był bardzo wielki. Władał z równą swobodą piórem, jak i żywym słowem. Jego przemówienia były zawsze interesujące, czasami porywające, a jednocześnie wolne od wulgarnej demagogii. Jego styl dziennikarski był pozornie lekki, pełen paradoksów i epigramatów, a jednocześnie bardzo staranny i czysty językowo. Mało ludzi wiedziało, jak ciężko przychodziło mu pisanie. Całymi godzinami siedział nad małymi karteczkami papieru, które wypełniał drobnym pismem, kreślił, wyrzucał, a nierzadko chodził długie godziny zanim zdecydował się usiąść do pisania.

Pod względem poglądów ideowych Rembieliński przeszedł dużą ewolucję, a ewolucja ta zaciążyła na poglądach całego młodego pokolenia. W okresie powstawania pierwszej deklaracji ideowej Młodzieży Wszechpolskiej Rembieliński stał na stanowisku nacjonalizmu doktrynalnego i dał temu wyraz m.in. w formule: „Dobro narodu najwyższym prawem i miarą wartości moralnych". W następnych latach przeszedł głęboką przemianę, która doprowadziła go do stanowiska konsekwentnie i głęboko katolickiego. Ta przemiana poglądów wymagała dużej odwagi moralnej. Wielu ludzi, zwłaszcza w późniejszym wieku, przychodzi do katolicyzmu, aby znaleźć w nim spokój wewnętrzny. Dla Rembielińskiego przyjęcie postawy katolickiej oznaczało wejście na drogę ustawicznego wysiłku intelektualnego i stałej walki moralnej. Ile go to kosztowało nikt z nas nie wie, wiemy tylko, jak twórcze dla jego działalności intelektualnej były wpływy tej nowej postawy. Przyjęcie stanowiska katolickiego przez Rembielińskiego, dzięki jego wpływowi intelektualnemu, odbiło się bardzo silnie na młodszym pokoleniu działaczy narodowych i postawie polskiego ruchu narodowego.

Rok 1934 był w życiu Rembielińskieżowały się wpływy dwóch wielkich pisarzy: Dmowskiego i Chestertona. Z tych dwóch tak odmiennych elementów umiał on wydobyć harmonijną i efektowną jedność.

Rok 1934 był w życiu Rembielińskiego datą tragiczną. W tym czasie wśród jego przyjaciół dojrzał rozłam. Między bliskimi sobie ludźmi zaczęła się walka, przybierająca nieraz formy brutalne. Rembieliński widząc obiektywnie stanowisko jednych i drugich nie mógł się zdecydować na stanięcie po żadnej stronie. Chciał ratować jedność, ale wiedział, że jest ona nie do uratowania. Rozumiał, że czasy saloniku na Brackiej są skończone. Może pod wpływem głębokiej rozterki rozchorował się ciężko i przez kilka tygodni trzymała go w łóżku skomplikowana grypa. Z choroby wstał osłabiony i zmieniony. Nie odzyskał już nigdy tego błyszczącego wigoru życiowego. Wypadki usuwały go na ubocze. Żył w gronie najbliższych przyjaciół literackich poza głównym nurtem politycznym.

W okresie największego swego wpływu Rembieliński nie był nawet redaktorem żadnego pisma. W latach dwudziestych wraz z Adolfem Nowaczyńskim wydawał „Myśl Narodową" w postaci małego, ale bardzo wpływowego tygodnika. Pismo to połączyło się następnie z „Przeglądem Wszechpolskim". Redakcję objął Zygmunt Wasilewski, a Rembieliński był jego zastępcą i autorem subtelnych felietonów. Na kilka lat przed wojną ustąpił on z redakcji „Myśli Narodowej" i wkrótce potem założył przy współudziale Stanisława Miłaszewskiego tygodnik literacki „Podbipięta", pismo oryginalnie pomyślane, ale niezbyt udane w praktyce. Niespodzianie dla znajomych wszedł z nominacji Prezydenta RP do Senatu, jako przedstawiciel literatów katolickich. Jednym z dowcipów Rembielińskiego w latach dwudziestych było twierdzenie, że nie będzie kandydował do Sejmu, ale wejdzie kiedyś do Senatu jako przedstawiciel grupy młodych.

Wybuch wojny zastał Rembielińskiego w podróży do Brazylii. We Francji wstąpił do wojska i, awansowany z kaprala na sierżanta, pełnił funkcje oświatowe w Coëtquidan. Po klęsce Francji z wojskiem przybył do Anglii. Przed opuszczeniem Francji zetknął się z grupą zdezorientowanych żołnierzy polskich, pochodzących ze starej emigracji polskiej we Francji. Zaczął ich przekonywać, że powinni jechać do Anglii. Gdy to szło opornie, wygłosił do nich porywające przemówienie w języku francuskim, którym dali się całkowicie przekonać. W Wielkiej Brytanii był początkowo w wojsku, następnie redagował pismo katolickie „Miecz Ducha", przekształcone wkrótce na wydawaną pół po polsku a pół po angielsku „Sprawę".

W okresie wojennym współpracuje czynnie słowem i piórem z ruchem narodowym, umieszcza też parokrotnie artykuły w „Myśli Polskiej".

W początku lat czterdziestych zaczyna widzieć przyszłość coraz czarniej, traci wyraźnie werwę i ochotę do życia. Wkrótce potem powala go gwałtowny atak sercowy. Wychodzi z niego jako inwalida. Drugi atak przychodzi w kilkanaście miesięcy później. Wiadomo, że któryś następny musi być śmiertelny. Rembieliński, poruszający się z trudnością, żyje już tylko myślą o pozostawieniu po sobie książki, o napisaniu historii Polski, o czym marzył od lat kilkunastu. Przełamując słabość fizyczną siaduje po pół dnia w British Museum, studiuje książki i dokumenty, wyszukuje nawet ilustracje. Wkrótce po wyjściu pierwszego tomu następuje ostatni atak. Rembieliński traci mowę i władzę w rękach i nogach. Nie może mówić, ale poznaje ludzi, jest bezwładny, ale przytomny. I tak leży przez kilka miesięcy w londyńskim szpitalu. Zmarł dnia 16 października 1948 roku.

W.W.

* * *

Pogrzeb ś.p. Jana Rembielińskiego odbył się w dniu 22 października na cmentarzu katolickim St. Mary, Kensal Green, w północno-zachodniej dzielnicy Londynu. Nabożeństwo żałobne i egzekwie w kaplicy cmentarnej odprawił ks. Matuszczak. Mimo powszedniego dnia i dużej odległości zgromadziła się blisko setka przyjaciół Zmarłego. Kilku z nich poniosło po nabożeństwie trumnę do grobu położonego w dalszej części cmentarza. Nad otwartym grobem przemawiali: imieniem kolegów z gimnazjum Chrzanowskiego w Warszawie płk Antoni Bogusławski; imieniem przyjaciół politycznych z ruchu narodowego dr Tadeusz Bielecki; imieniem Związków Pisarzy i Dziennikarzy prof. Stanisław Stroński. O ostatnich chwilach Zmarłego mówił mjr Gac. Żałobną uroczystość zakończyły krótkie przemówienie celebransa i zbiorowa modlitwa.

PRZEGLĄD WYDAWNICTW

PAMIĘTNIKI WOJENNE CHURCHILLA

Winston S. Churchill: THE SECOND WORLD WAR. Vol. I: The Gathering Storm. Cassel & Co Ltd. Londyn, 1948. Stron 640. Cena 25 s.

Dawno oczekiwany tom pierwszy pamiętników wojennych Churchilla obejmuje okres między dwiema wojnami światowymi, potraktowany raczej szkicowo, w ogólnych zasadniczych zarysach, oraz pierwszą fazę wojny — do momentu inwazji Belgii i Holandii i objęcia przez Churchilla naczelnej władzy w Anglii (10 maja 1940 r.). Tę fazę wojny Churchill nazywa **twilight war** — wojną półmroku.

Nie ulega wątpliwości, że Churchill jest nie tylko wielkim oratorem i najsilniejszą, najwybitniejszą postacią na brytyjskiej scenie politycznej, ale i znakomitym pisarzem i historykiem. Jest indywidualnością niesłychanie bujną i malowniczą, jak gdyby żywcem przeniesioną z epoki Odrodzenia.

Proza Churchilla płynie jak szeroka, majestatyczna rzeka. Patos wydarzeń przedstawianych przez niego znajduje jednak wyrównanie w opisie jakichś drobnych epizodów z dziedziny osobistej, gdy np. wspomina jak w przeddzień wybuchu wojny budował własnoręcznie kuchnię w swej posiadłości wiejskiej. Lektura jego pamiętnika nie nuży, czyta się go z niesłabnącym zainteresowaniem.

Jako polityk rysuje się nam Churchill niemal w postaci konwencjonalnej. Jest to jednak złudzenie, bo wycisnął on na polityce brytyjskiej i światowej tak wyraźne piętno, że często nie odróżnia się autora od dzieła. W okresie,

objętym przez tom I pamiętnika, Churchill przez 11 lat nie piastował żadnego wysokiego urzędu, był, jak to się określa **in the political wilderness**. Zabierał jednak często głos w Izbie Gmin, nawoływał do czujności wobec wzrastającej z roku na rok groźby niemieckiej, niestety bez większego powodzenia. Ale myliłby się, kto by uważał go za zaprzysiężonego wroga Niemiec. W pamiętnikach znajdziemy niejedno zdanie pochlebne o narodzie niemieckim. W pewnym miejscu (na str. 65) pisze: „Zawsze pragnąłem, by Anglia, Niemcy i Francja były przyjaciółmi".

Stąd wynikała też jego pozytywna ocena paktu lokarneńskiego. By pozyskać Niemcy dla idei współpracy z Zachodem Churchill był gotów „dać im większą satysfakcję na ich granicy wschodniej." Z pewnym ubolewaniem zaznacza on, że „nie nadarzyła się żadna po temu okazja podczas owych krótkich lat nadziei" (str. 24-25).

Jako polityk Churchill jest wyznawcą oportunizmu, dostosowania gry politycznej do okoliczności. Wprawdzie ta gra ma stosować się do wskazań sumienia, wiemy jednak z oświadczenia samego Churchilla, że sumienie jego jest dobrze wyćwiczone.

Na marginesie Monachium wypowiada on pod adresem Francji takie krytyczne uwagi: „Istnieje wszakże jeden, pomocny przewodnik, by mianowicie naród dotrzymał słowa i działał zgodnie ze swymi zobowiązaniami traktatowymi wobec swych sprzymierzeńców" (str. 251).

Polacy, którzy usłyszeli pod adresem swego narodu tyle pochlebnych słów z ust Churchilla i którzy w nim widzieli wielkiego swego przyjaciela, zachwiali się w swej wierze w niego dopiero po Jałcie. Pierwszy tom pamiętników przyniesie im nowe rozczarowanie. Można by przypuszczać, że ten wybitny mąż stanu i wielki historyk, nawykły do obejmowania myślą swą i działaniem całych kontynentów i wielkich okresów dziejowych, patrzy na sprawę polską przez pryzmat jednego, drobnego stosunkowo epizodu, który traktuje zresztą w oderwaniu od antecedencyj sprawy, mianowicie przez pryzmat odzyskania przez Polskę w 1938 r. Zaolzia.

Tłumaczy się to może wielką sympatią, jaką Churchill darzy Czechosłowację i jego krytycznym stosunkiem do ówczesnej polityki brytyjskej (z okresu Monachium), niemniej w jego stanowisku dostrzec można jaskrawą dysproporcję w ocenie znaczenia postępowania wielkich mocarstw, które zadecydowało o przekreśleniu niepodległości Czechosłowacji, a rewindykacji przez Polskę niewielkiego obszaru, odebranego jej przez Czechów w krytycznym dla Polski momencie.

Kiedykolwiek mówi o Polsce, zawsze jej wytyka tę sprawę w słowach ostrych a nawet obraźliwych. Dotyczy to głównie początku rozdziału XVIII („Munich Winter"), w którym Churchill mówi o „rekordzie szaleństwa i niewdzięczności, jaki wiódł poprzez stulecia naród polski do niezmierzonych cierpień", o udziale Polaków w „obrabowaniu i zniszczeniu Czechosłowacji", oraz o „zastarzałych błędach Polaków w każdej niemal dziedzinie ich rządów". W odnośnym ustępie znajdowały się jeszcze gorsze wyrażenia, które, po pojawieniu się ich w gazetach, ukazały się bez zmian w wydaniach amerykańskim i francuskim, natomiast, jak wiadomo, usunięte zostały w ostatniej chwili z później ogłoszonego wydania brytyjskiego. Wykreślił więc Churchill takie wyrażenia o Polakach:

— „Pełni chwały w rewolcie i nieszczęściu, nikczemni i haniebni w triumfie. Najdzielniejsi z dzielnych, zbyt często prowadzeni przez najpodlejszych z podłych. A jednak istniały zawsze dwie Polski: jedna walcząca o to, by głosić prawdę, a druga pełzająca w nikczemności.

„Pozostaje nam jeszcze opowiedzieć o niepowodzeniu ich wojskowych przygotowań i planów, o arogancji i błędach ich polityki, o straszliwych rzeziach i niedolach, na jakie sami się skazali przez swe szaleństwa". —

Przez opuszczenie tych wyrażeń uwypuklone zostały nieco bardziej pewne zalety, które Churchill Polakom przyznaje (**a people capable of every heroic virtue, gifted, valiant, charming, as individuals**), a zmienione zakończenie całego ustępu brzmi obecnie następująco:

„Całym naszym sercem jesteśmy z narodem polskim w jego nowym ujarzmieniu, i pewni jesteśmy, że nigdy nie będziemy napróżno czekali na jego odwieczny impuls do uderzenia w tyranię i do znoszenia z niezłomnym męstwem wszystkich cierpień, jakie go nawiedziły. Spoglądamy naprzód, ku jutrzence".

Inne zwroty (o „niewdzięczności", nieudolności w rządzeniu się, udziale w zniszczeniu Czechosłowacji) Churchill — jak wyżej podkreśliliśmy — w wydaniu brytyjskim pozostawił. Zostawił też w następnym rozdziale takie wyrażenia, dotyczące stanowiska Polski wobec Czechosłowacji, jak **hyena appetite** (str. 271) i **shameful attitude** (str. 272).

Jakkolwiek Churchill zgadzał się na politykę Chamberlaina w stosunku do Polski i popierał tę politykę, wyraża jednak żal, że premier nie zdobył się na podobny krok w stosunku do Czechosłowacji w 1938 r., kiedy jego zdaniem istniały lepsze widoki na powstrzymanie potęgi niemieckiej.

W sprawie pertraktacji z Rosją z 1939 r. winę za ich ostateczne rozbicie się składa raczej na mocarstwa zachodnie, a dla stanowiska rosyjskiego ma zrozumienie, chociaż wytyka mu dwulicowość i chociaż na marginesie tej sprawy konkluduje, że „uczciwość jest najlepszą polityką". Był on przekonany, że należało przyjąć propozycję Litwinowa stworzenia zjednoczonego frontu i zawarcia umowy o wzajemnej pomocy między W. Brytanią, Francją i Rosją, z ewentualnym dodaniem Polski. Mocarstwa te miałyby gwarantować państwa Europy Środkowej i Wschodniej, zagrożone przez ekspansję niemiecką. Jakkolwiek nie bagatelizował obaw tych państw przed gwarancją sowiecka, sądził jednak, że gdyby było doszło do rozprawy orężnej z Niemcami, można było wpłynąć na Rosję, by zaniechała aneksji tych państw, bo wspólne zagrożenie, braterstwo broni itd. nadawałyby sprawom inne oblicze. Zdaje się, że Churchill ulega tu złudzeniom, z których powinno go było wyleczyć zetknięcie się praktyczne z polityką sowiecką.

Kampanii wrześniowej w Polsce Churchill poświęca jeden, krótki zresztą rozdział swych pamiętników, włączając weń trzy mapy. Podkreśla dzielny, choć beznadziejny opór polski, zwłaszcza grupy poznańskiej pod dowództwem gen. Kutrzeby, oraz „wspaniałą" obronę Warszawy.

W sumie jednak z żalem musimy stwierdzić, że Churchill potraktował sprawę polską dziwnie kapryśnie i jak na historyka i polityka jego kalibru bardzo powierzchownie. Przez wyolbrzymienie znaczenia jednego incydentu wyrządził nam w opinii świata bolesną krzywdę. Ten najwierniejszy i najofiarniejszy aliant zasługiwał na lepszą ocenę kierownika wysiłku wojennego i politycznego W. Brytanii czasu wojny.

(m. ost.)

KU NOWEMU ETAPOWI PRACY I WALKI

STRONNICTWO NARODOWE W WALCE O POLSKĘ. Zjazd Delegatów i Mężów Zaufania z Wielkiej Brytanii oraz Zjazd Kontynentalny. Centralny Wydział Wykonawczy Stronnictwa Narodowego. Londyn, 1948. Stron 102 i 6 fotografii. Cena 2 s.

Wartość tej sporej objętością, ładnie wydanej książeczki znacznie wykracza poza ramy sprawozdań z obu tegorocznych Zjazdów SN, które były tak imponującymi manifestacjami żywotności i prężności polskiego ruchu narodowego w obecnych ciężkich warunkach. Wartość jej polega także na podaniu pełnego tekstu przemówień głównych mówców zjazdowych, które z pewnością zasługiwały na utrwalenie, oraz na wydrukowaniu całości przyjętych przez Zjazd uchwał. Na uchwały te złożyły się: wskazania programowe („Podstawy ideowe", „Granice Polski", „Zasady ustroju", „Europa Środkowo-Wschodnia", „Główne zadanie"), rezolucje dotyczące polskiego żołnierza, marynarza i lotnika oraz Polskich Sił Zbrojnych, a dalej uchwały: komisji politycznej („Wnioski z położenia międzynarodowego"), komisji organizacyjnej („Polityka Stronnictwa Narodowego w czasie wojny", „Porządek prawny w polityce polskiej", „Wezwanie emigracji do pracy nad sobą", „Władze Stronnictwa Narodowego"), komisji społeczno-gospodarczej („Cele społeczno-gospodarcze w kraju" i „Postulaty gospodarcze emigracji politycznej w W. Brytanii"), wreszcie komisji oświaty i kultury („Zagadnienia oświaty i kultury", „Praca kulturalna na wychodźstwie", „O postawę młodzieży").

Przeczytanie całości tych uchwał pozwala stwierdzić, jak poważny i wielostronny był wysiłek, który komisja programowa Zjazdu włożyła w opracowanie projektów uchwał, przedyskutowanych następnie i po niedużych stosunkowo zmianach przyjętych przez Zjazd. Można powiedzieć bez przesady, że żaden z polskich ruchów politycznych nie może się dzisiaj poszczycić takim dorobkiem myślowym, dostosowanym do wydarzeń i przemian dziejowych naszej epoki.

Czytelników książeczki zaciekawią również niewątpliwie obce głosy o Stronnictwie Narodowym i udałe zdjęcia fotograficzne ze Zjazdu.

L.

NACJONALIZM CHRZEŚCIJAŃSKI

Broszury Jędrzeja Giertycha Nr 2. NACJONALIZM CHRZEŚCIJAŃSKI. Stuttgart, 1948. Stron 74. Cena 3 s.

Nowa broszura Jędrzeja Giertycha pisana była w maju roku bieżącego. Autor wskazuje, że jedynym przeciwstawieniem komunizmowi mogą być chrześcijańskie ruchy narodowe. Omawia on błędy nacjonalizmu pogańskiego, określa czym jest naród chrześcijański, zwraca uwagę na szczególną rolę ideową polskiego ruchu narodowego w świecie i przeciwstawia mechanicznemu zjednoczeniu Europy zasadę rodziny wolnych narodów chrześcijańskich. Broszura wydana jest w estetycznej szacie zewnętrznej i pisana w sposób dostępny dla szerokich rzesz czytelników.

PRZEGLĄD CZASOPISM

O AUTOCHTONIZMIE SŁOWIAN NAD ODRĄ I ŁABĄ

Wychodzący w Katowicach miesięcznik „Strażnica Zachodnia" zamieszcza rozprawkę J. Daniewskiego na temat autochtonizmu Słowian nad Odrą i Łabą. Dyskusje naukowe na ten temat toczą się od blisko już dwustu lat i są niezmiernie trudne wskutek tego, że jedynym właściwie źródłem historycznym dla rozstrzygnięcia tej sprawy jest „Germania" Tacyta. Źródło to jest względnie tylko autorytatywne, gdyż historyk rzymski sam kraju nie zwiedzał i językami germańskimi nie władał, a opierał się jedynie na często powierzchownych obserwacjach kupców i żołnierzy. O ile też to, co pisze o krainach germańskich podlegających Rzymowi lub z jego posiadłościami graniczących jest dokładne, o tyle odległe i prawie niezbadane części Europy opisuje fantastycznie nierzadko przekraczając granicę między opisem a baśnią.

Tacyt za wschodnią granicę Germanii uważa Wisłę. Za tą rzeką wyznacza siedziby Sarmatów, ludu, jak się zdaje pochodzenia turańskiego, a w każdym razie nie słowiańskiego. Między nimi a Germanami w sposób bardzo nieokreślony umieszcza kilka innych ludów niepewnych pod każdym względem, jakby nazwy zdawały się wskazywać Wenedów, Pieczyngów i Finów, i twierdzi, że nie wie czy zaliczyć ich do Germanów czy do Sarmatów. Samych Germanów dzieli pisarz rzymski na dwie bardzo różne grupy: zachodnich i wschodnich. Tych ostatnich nazywa Suewi. Suewowie Tacyta zajmują terytoria, które później zajmowali Słowianie. Wiele ich obyczajów, niepodobnych do germańskich, uderzająco przypomina późniejsze znane słowiańskie. Nazwy niektórych plemion suewskich i miejscowości dają się nawiązać do nazw słowiańskich. Wreszcie sama nazwa Suewi łatwiej daje się tłumaczyć przez Sławi niż przez Schwaben, jak chce większość uczonych niemieckich. Najsilniejszy ze wschodnio-suewskich lud Lugii lub Leugii (znani nam Ligowie Sienkiewicza) można tłumaczyć jako Lęchowie (Lengyel, Lenkas, Lachy — do dziś nazwy Polaków u sąsiadów). Kto wie, czy nie ma to związku z tajemniczym określeniem Mieszka Pierwszego jako Licicavicorum Dux. Autorowi niniejszej notatki wydaje się, że najbardziej bezpośredni związek jest między Lugii a Łużyce.

Z drugiej strony wśród plemion suewskich Tacyt wylicza niewątpliwie germańskie z nazwy plemiona Gotów czy Burgundów. Większość nauki niemieckiej przyjęła tezę, że wszyscy Suewowie byli Germanami. Teza ta głoszona z niesłychanym naciskiem i swego rodzaju terrorem intelektualnym została przyjęta na wiarę przez niemal całą naukę zachodnio - europejską, tak francuską jak i anglosaską. Przyjęło ją także wielu uczonych słowiańskich.

Artykuł dr Daniewskiego, o którym wspomnieliśmy na początku, jest pod jednym względem rewelacyjny: wykazuje on jak wielka ilość uczonych niemieckich, wcześniejszego zwłaszcza okresu, była zdania przeciwnego i łączyła Suewów ze Sławami. Autor wykazuje, że w polemice z nimi przeciwnicy niemieccy używali nie tyle argumentów, co sarkazmu lub wymysłów. Daniewski gromadzi przy tym mnóstwo argumentów dodatkowych popierających tezę, że Suewowie Tacyta byli Słowianami.

Nie wydaje się nam, by można było przy istniejącym stanie źródeł historycznych wyjść w sprawie interpretacji Tacyta poza hipotezy. Niewątpliwie jednak stwierdzić można, że narzucona Zachodowi teza nauki niemieckiej, że wschodnią granicą osiedlenia germańskiego w czasach rzymskich była Wisła, jest hipotezą w najwyższym stopniu wątpliwą i że równie dobre, a nawet lepsze prawo obywatelstwa w nauce ma hipoteza, iż cała wschodnia Germania Tacyta była słowiańska, choć tu i ówdzie były plemiona rządzone przez grupy najeźdźców z zachodu.

Szkoda, że nie ma w tej sprawie jakiegoś nowoczesnego fundamentalnego i syntetycznego dzieła polskiego, które by można przetłumaczyć na język angielski.

PRZEMIANY GOSPODARCZE W EUROPIE ŚR.-WSCHODNIEJ

P. Wacław Fajans w „Tygodniku Powszechnym" wskazuje na przemiany w gospodarce rolnej krajów środkowo-europejskich za żelazną kurtyną. Wszystkie te kraje, w różnym stopniu, zmniejszyły zakres produkcji zbóż chlebowych na rzecz innych działów produkcji rolnej.

„Tendencją omal powszechną i silnie akcentowaną jest forsowanie produkcji hodowlanej i wekslowanie z kierunku zbożowego na drogę uprawy gatunków przemysłowych, jak nasion oleistych, buraków cukrowych, lnu, tytoniu. I tak czechosłowacki plan dwuletni zmierza ku wydatnemu pomnożeniu produkcji pasz oraz zwiększeniu wytwórczości mięsa wieprzowego o 100 proc., wołowego o 35 proc., mleka o 75 proc., jaj o 50 proc., nasion oleistych o 43 proc., przy równoczesnym ograniczeniu zasiewów zbóż chlebowych. Węgry planują redukcję do r. 1950 powierzchni uprawy pszenicy i żyta na korzyść kukurydzy, pasz, buraków i kartofli, zaś równoległe popieranie hodowli inwentarza żywego ma doprowadzić stan pogłowia trzody chlewnej, który w r. 1945 obniżył się do 22 proc. w stosunku do okresu przedwojennego, do 113 proc. w ciągu 5 lat. Jugosławia podąża w analogicznym kierunku, przewidując w swym planie pięcioletnim zmniejszenie powierzchni zbożowej z 6,24 mil. ha, w roku 1939 do 5,7 mil. w r. 1951, a to na korzyść uprawy bawełny, lnu, soi i słoneczników. Jednocześnie intensyfikacja hodowli inwentarza ma doprowadzić pogłowie trzody z 3,5 mil. sztuk w r. 1939 do 6 mil. w r. 1951, owiec z 10 mil. do 14,8 mil. oraz drobiu z 22,4 mil. do 33,3 mil. Wreszcie Bułgaria przestawia się energicznie na gospodarkę hodowlaną, a ponad wszystko forsuje uprawę tytoniu, rezerwując dlań miejsce naczelne w swej kulturze rolnej. Przed wojną 90 proc. ogólnego eksportu bułgarskiego było pochodzenia rolniczego, w tym połowę stanowiły tytoń i papierosy. W r. 1946 udział tych dwu artykułów w tamtejszym eksporcie rolnym wzrósł do 75 proc. a w roku następnym nawet do 85 proc. Ale jednocześnie Bułgaria, która przed wojną odgrywała minimalną rolę jako importer żywności, wykazuje w r. 1946 przywóz produktów żywnościowych w rozmiarach sięgających 66 proc., a w r. 1947 przekraczających 100 proc. wartości eksportu rolnego.

„Nie lekceważąc bynajmniej wpływów wspomnianych wyżej zmian zachodzących w łonie samej gospodarki rolnej na fakt obniżania się produkcji zbóż chlebowych w eksportujących przed wojną krajach Europy, stwierdzić jednak należy, że fakt ten jest przede wszystkim niewątpliwym wykładnikiem powszechnego i szybko postępującego procesu kurczenia się roli rolnictwa jako takiego w strukturze ekonomicznej centralnej i południowo-wschodniej Europy. Żywiołowy pęd ku uprzemysło-

wieniu, który po wojnie ostatniej opanował kraje agrarne, spycha rolnictwo na boczny tor ich polityki gospodarczej."

Autor przestrzega przed niebezpieczeństwami zbyt daleko idącego popierania przemysłu kosztem rolnictwa w tych krajach, a zwłaszcza w Polsce.

Przebudowa gospodarki krajów Środkowo-Wschodniej Europy z krajów rolniczych (czy, może należałoby raczej powiedzieć, biedno-rolniczych) w rolniczo-przemysłowe rozpoczęła się już w okresie między wojnami.

Obecny rozwój jest dalszym ciągiem tamtej ewolucji. Został on przyspieszony przez pokonanie i osłabienie gospodarcze Niemiec. Dobrą strukturę gospodarczą przed wojną miały z tych krajów jedynie Czechy, odznaczające się równowagą między przemysłem, a dobrze postawionym rolnictwem. Gdyby narodom Europy Środkowo-Wschodniej dano kilkadziesiąt lat pokoju i niepodległości, rozwój ich niewątpliwie poszedłby w kierunku czeskim i obraz równowagi gospodarczej Europy zmieniłby się całkowicie.

ZADECYDOWAŁO ODWRÓCENIE SOJUSZÓW

„Journal of Central European Affairs", poważny kwartalnik wydawany przy uniwersytecie w Colorado, zamieszcza interesujące studium prof. Konopczyńskiego pt. „England and the First Partition of Poland". Studium oparte jest na poszukiwaniach naukowych autora sprzed pierwszej wojny światowej, napisane zostało przed drugą wojną światową, a uzupełnione i opublikowane ... przed trzecią wojną światową. Daje to pojęcie o trudnościach pracy historyka w naszej epoce.

Prof. Konopczyński w swoim studium nie tylko podaje wiele szczegółów o niciach łączących Warszawę z Londynem i o reakcjach opinii angielskiej na pierwszy rozbiór, ale rzuca sprawę polityki Pitta starszego na szersze tło zasadniczego układu europejskiego. O obojętnym stosunku do rozbiorów polityki angielskiej zadecydował sojusz francusko-austriacki, czyli tzw. odwrócenie sojuszów, które zakończyło rywalizację Burbonów z Habsburgami i tworzyło w Europie dominujący blok katolicki. Osłabienie lub rozbicie tego bloku było główną troską polityki angielskiej. Toteż w Londynie za naturalnych sojuszników uważano Prusy i Rosję, a chętnie widziano, że Austria oddala się przez udział w rozbiorze od Francji, usiłującej zachować Polskę. W wyborze między zasadami ideowymi i moralnymi a interesem państwowym polityka brytyjska poszła niemal bez wahań drogą interesu. Na rozdrożu zabrzmiał tylko głos sumienia, przemawiający ustami wielkiego mówcy liberalnego, Burke'a.

W tymże samym numerze kwartalnika zamieszcza p. Dziewanowski artykuł o stosunku Herzena i Bakunina do powstania 1863 r.

„POLAK"

W Osnabrück, w zonie brytyjskiej Niemiec, ukazywać się zaczął tygodnik polski pod nazwą „Polak".

Jest to jedyne pismo polskie w brytyjskiej strefie okupacyjnej Niemiec. Od czasu zamknięcia wydawanych jeszcze przez dowództwo likwidacyjne polskie w Niemczech „Nowin" ciągnęła się sprawa udzielenia licencji na tygodnik polski. Odmawianie licencji było nawet przedmiotem interpelacji w Izbie Gmin i szeregu interwencji. Dopiero obecnie władze okupacyjne brytyjskie udzieliły tej licencji Polskiemu Komitetowi Doradczemu. Pismo wychodzi w Osnabrück, a redaktorem jego jest p. Witold Olszewski. W ten sposób obok dwóch tygodników polskich wychodzących w okupacji amerykańskiej („Lech" w Monachium i „Kronika" we Frankfurcie) powstało w Niemczech trzecie pismo wysiedleńców polskich. Życzyć wypada całym sercem nowej placówce polskiej jak największego rozwoju i powodzenia.

Z ŻYCIA SPOŁECZNEGO

WALNE ZEBRANIE ZWIĄZKU ZIEM POŁUDNIOWO-WSCHODNICH

Dnia 25 września odbyło się Walne Zgromadzenie Związku Ziem Południowo-Wschodnich. Ze sprawozdania złożonego przez ustępujący Zarząd i Radę Naczelną Związku wynika, że Związek rozwinął w roku sprawozdawczym 1947-8 ożywioną działalność, zarówno w zakresie politycznym jak i w zakresie imprez oraz odczytów. Szczególną uwagę Związek Ziem Południowo-Wschodnich zwracał na gruntowne rozpatrzenie kwestii ukraińskiej, któremu to zagadnieniu było poświęcone szereg posiedzeń Rady Naczelnej Związku.

Po uchwaleniu absolutorium ustępującym władzom Związku Walne Zgromadzenie wybrało nowy Zarząd Główny w składzie: prezes: T. Piszczkowski, wiceprezesi: T. Naklicki, S. Skrzypek, sekretarz: M. Kaim, skarbnik: N. Nadachowski, członkowie Zarządu: Z. Byrowa, S. Mączyński.

Do Rady Naczelnej Związku, której zadaniem jest ustalenie zasadniczych wytycznych polityki Związku, weszli pp.: F. Arciszewski, I. Człowiekowski, T. Danilewicz, W. Donigiewicz, J. Giertych, M. Januszajtis, A. Jedziniak, M. Kolbuszewski, J. Pańciewicz, M. Pawlikowski, A. Piwowarski, M. Rojek, P. Siekanowicz, T. Sulimirski, S. Stroński, S. Szczepanowski, W. Tarnawski, J. Tokarzewski-Karaszewicz, A. Treszka oraz wszyscy członkowie Zarządu Głównego Związku.

Walne Zgromadzenie uchwaliło w sprawie polityki polskiej na wschodzie następujące rezolucje:

1. Niezmienną wytyczną polskiej polityki wschodniej jest przywrócenie granic Polski ustalonych traktatem ryskim w r. 1921, warunkujących niepodległość państwa polskiego i trwałość układu politycznego w Europie Środkowo-Wschodniej ważnego dla bezpieczeństwa i pokoju całej Europy.

2. Uznając potrzebę przyjaznych stosunków polsko-ukraińskich Związek Ziem Południowo-Wschodnich uważa wszelkie próby osiągnięcia tego celu kosztem ustępstw terytorialnych za niedopuszczalne i nierealne.

3. Zgodnie z ogólną budową państwa polskiego w duchu wolności i prawa, niesporne pozostaje zapewnienie grupom narodowym w Polsce poszanowania narodowości i swobody obywatelskiej.

HENRYK MIRZWIŃSKI

TRYPTYK

By jeszcze jeden dzień
spełnił się we mnie wiarą,
w ciszę cię białą owijam
jak w ślubny welon.
Bo w ciszy,
gdy tylko serca się modlą,
ma wiara jest jak sosna
rosnąca prosto w niebo
korzeniem depcąc zwątpień
ugorny piach.

By jeszcze jeden dzień
spełnił się we mnie nadzieją,
kładę ci sen na powieki —
puszystą ćmę.
Bo kiedy śpisz
z głową opartą na łuku ramienia,
moja nadzieja jak wierzba
pochylona nad rzeką w jutro
z korzeniem wrosłym w głąb —
w sens życia.

By jeszcze jeden dzień
spełnił się we mnie miłością
przestrzeń rozdzielić nas musi
rozłąką.
Bo z dali,
gdy tylko wspomnieniem twarz twoją
pieszczę
ma miłość jest jak las,
który horyzont przysłania
i szumi o tobie
i rośnie tobą.

SPÓŁDZIELNIA OGRODNIKÓW

Grupa Polaków, b. wojskowych zawiązała Spółdzielnię Ogrodników.

Ogólnym celem Spółdzielni jest dopomożenie członkom do zdobycia niezależnego bytu z pracy w ogrodnictwie.

Członek nabywa tyle udziałów w Spółdzielni, ile akrów ziemi pragnie uprawiać. Cena jednego udziału wynosi w chwili obecnej Ł 55.

Spółdzielnia zakupiła 440-akrową farmę w okolicy Peterborough; w ciągu pierwszego roku farma będzie przekształcona na działki ogrodnicze. Statut Spółdzielni został zarejestrowany dnia 31 sierpnia 1948 r.

Spółdzielnia przyjmuje jeszcze członków. Szczegółowych informacji udziela sekretarz Spółdzielni; adres: The Secretary, LARK LTD., Eternity Hall, Conington, nr. Peterborough.

LISTY DO REDAKCJI

(Odpowiedzialność za poglądy wyrażone w listach do Redakcji ponoszą wyłącznie ich autorzy)

„DRUGORZĘDNA" I „OTWARTA" SPRAWA

Szanowny Panie Redaktorze,

Wśród politycznego środowiska polskiego krążą uporczywe pogłoski, jakoby niektórzy z tzw. polskich federalistów skłaniali się za cenę ukraińskiej zgody na koncepcję federacji z Polską w ramach szerszej federacji Europy Środkowo-Wschodniej do uznania sprawy wschodnich granic Polski za „drugorzędną" i „otwartą". Szczególnie szkodliwe są pogłoski, jakoby byli tacy polscy federaliści spod znaku „Międzymorza" i niektórych Klubów Federalnych, którzy rzekomo gotowi są „rozmawiać" o ewentualnych przesunięciach granic pomiędzy Polską a mającymi się z nią w przyszłości sfederować Ukrainą, Białorusią, Litwą, i że stanowisko to umożliwiło niechętnym dotychczas wszelkiej myśli współpracy z Polską Ukraińcom przyjęcie koncepcji federacyjnej, czego wyrazem miałoby być wejście przedstawicieli ukraińskich (I. Mazepy, przewodniczącego i ministra spraw zagranicznych Organu Wykonawczego Ukraińskiej Rady Narodowej, oraz W. Mudryja, zastępcy przewodniczącego Organu Wykonawczego U.R.N.) do nowopowstałego Klubu Federalnego Europy Środkowo-Wschodniej w Niemczech.

Nie chcę twierdzić, że pogłoski te odpowiadają prawdzie, niemniej jednak brak wyraźnego oświadczenia w sprawie naszych ziem wschodnich ze strony oficjalnych przedstawicieli „Międzymorza" i Klubów Federalnych, oraz publiczne wypowiedzi niektórych członków tych Klubów budzić mogą wrażenie, że pogłoski te nie są w zupełności pozbawione podstaw.

W związku z tym trzeba zwrócić uwagę opinii polskiej, że za koncepcjami federacji Polski z Ukrainą, Litwą i Białorusią kryje się niebezpieczeństwo osłabienia naszego stanowiska w sprawie integralności Polski na wschodzie, które dotychczas było kamieniem węgielnym naszej polityki i stanowiło jedną z głównych racji bytu politycznego naszej emigracji.

Wszelkie odkładanie ustalenia kwestii naszych granic wschodnich „na potem" nie rokuje widoków trwałej współpracy pomiędzy Polską a nierosyjskimi, sąsiadującymi z nami od wschodu narodami i przygotowuje grunt psychologiczny do ustępstw terytorialnych na wschodzie. Takie stawianie sprawy budzić musi wątpliwość i zastrzeżenia nie tylko po stronie Ukraińców, którzy widzą w odkładaniu kluczowego dla przyszłości stosunków polsko-ukraińskich zagadnienia granic jakąś polską „chytrość" i „podstęp", ale także po stronie tych wszystkich Polaków, którzy zasadniczo nie godzą się na uczynienie ze sprawy naszych granic wschodnich przedmiotu jakiegoś przetargu, obojętne czy miałby to być przetarg z Rosją czy kimkolwiek innym.

Unikanie postawienia kwestji uznania naszych granic sprzed r. 1939 jako podstawy wszelkiej dyskusji nad uzgodnieniem współpracy polsko-ukraińskiej czy polsko-białoruskiej i polsko-litewskiej, jest polityką strusią, która wcześniej czy później musi doprowadzić do rozpadnięcia się mozolnie budowanego bloku państw „Międzymorza".

Gorzej jeszcze, jeśli niektóre jednostki z ruchu federalnego chcąc pozyskać Ukraińców, Białorusinów, Litwinów dla koncepcji federalnej z Polską, uciekają się do twierdzenia, że sprawa granic jest „drugorzędna" i „otwarta". Tego rodzaju stanowisko wyraźnie już pachnie gotowością do ustępstw terytorialnych i w przekładzie na język prawniczy oznacza ono odstępstwo od zasady integralności Polski.

Ci panowie z „Międzymorza" i Klubów Federalnych, którzy sugerują się mało realną i w dzisiejszych warunkach niesłychanie trudną do urzeczywistnienia ideą federacji z Ukrainą i są gotowi stanąć do przetargu o nasze ziemie wschodnie z nierosyjskimi naszymi sąsiadami od wschodu, winni pamiętać o tym, że nie mają żadnego mandatu do obiecywania czegokolwiek w imieniu Polski i raz jeszcze zastanowić się dobrze, czy odstąpienie od zasady granicy ryskiej zamiast zapewnić Polsce przodujące stanowisko w gromadzie narodów „Międzymorza" — jak się tego zapewne spodziewają — nie poderwie podstaw, na jakich opiera się sama zasada naszej niepodległości.

Kończąc, uważam, że dobrze by się stało, gdyby przedstawiciele polskiego ruchu federalnego wyraźnie i publicznie stwierdzili, jakie jest ich stanowisko w sprawie naszych granic wschodnich.

STANISŁAW SKRZYPEK

Londyn, dn. 19 października 1948 r.

NOWY, WSPANIAŁY ŚWIAT

Komunistyczny „Robotnik" przytacza fragment wypracowania maturzysty na temat „Balladyny". „W „Balladynie" Słowackiego można spostrzec dwa światopoglądy: kapitalistyczny i robotniczo-chłopski. Uzasadnienie: Kirkor, bogaty pan... Alina, pracowita, jak ten chłop polski, pierwsza napełniła pełen dzban i sumiennie wykonała plan pracy. Wyobraża nam przez to przodownika wyścigu pracy chłopskiej. Balladyna zaś, podobnie jak i kapitalista, lenistwem i przywłaszczeniem sobie cudzej pracy..."

* * *

„Die Welt" podaje: Policja aresztowała pod Koburgiem b. żołnierza niemieckiego Falkenhayna, który opowiadał, że niedawno widział Hitlera. Hitler zdobył ostatnio siły nadprzyrodzone i dzięki nim spowodował eksplozję w Ludwigshafen, by dać wyraz swemu niezadowoleniu z okupacji Niemiec, oraz mały orkan w Norymberdze, by tak zaprotestować przeciw tamtejszym procesom. Trzej policjanci, którzy śledzili Falkenhayna, zaproponowali mu — a dzień był pogodny — by o godz. 16 Hitler przysłał chmurę. Istotnie punktualnie o 16 mała chmura przesłoniła słońce, co dość policjantów zakłopotało.

OD WYDAWNICTWA

Z dniem 15 października br. dr Tadeusz Bielecki ustąpił ze stanowiska redaktora naczelnego „Myśli Polskiej", które zajmował od przeszło dwóch lat.

KOMUNIKAT

Od dnia 1 listopada Redakcja „Myśli Polskiej" jest czynna codziennie z wyjątkiem sobót i świąt w godzinach od 14 do 16, a nie jak dotąd przed południem.

ERRATA

W poprzednim numerze wskutek błędu korekty imię autora artykułu pt. „Wszystko z ideą Polski w sercu" podano jako Jerzy. Autorem jest p. Józef Płoski, znany wielu spośród naszych Czytelników.

TREŚĆ NR 128 (ROK VIII, NR 11) „MYŚLI POLSKIEJ"

ZAGADNIENIE NIE TYLKO POLSKIE — Zgon prymasa Hlonda — Mowa w Llandudno — Koncepcja optotków — Sprawa Berlina — Przeobrażanie się imperium — Druga linia — Stronnictwa czy totalizm? — Więcej ogłędności; PAX AMERICANA? — Wojciech Wasiutyński; BRYTYJSKI KRYZYS GOSPODARCZY — W. Łęgowski; NIM DEWEY OBEJMIE WŁADZĘ... — Bogusław Malinowski; PŁACZ — Wacław Iwaniuk; GOSPODARCZY POTENCJAŁ NIEMIEC — Z.K.; ŚP. JAN REMBIELIŃSKI — W.W.; PAMIĘTNIKI WOJENNE CHURCHILLA — (m.ost.); KU NOWEMU ETAPOWI PRACY I WALKI — L.; NACJONALIZM CHRZEŚCIJAŃSKI; O AUTOCHTONIZMIE SŁOWIAN NAD ODRĄ I ŁABĄ; PRZEMIANY GOSPODARCZE W EUROPIE ŚR.-WSCHODNIEJ; ZADECYDOWAŁO ODWRÓCENIE SOJUSZÓW; „POLAK"; WALNE ZEBRANIE ZWIĄZKU ZIEM POŁUDNIOWO-WSCHODNICH; TRYPTYK — H. Mirzwiński; „DRUGORZĘDNA" I „OTWARTA" SPRAWA — Stanisław Skrzypek; NOWY, WSPANIAŁY ŚWIAT; OD WYDAWNICTWA; KOMUNIKAT; ERRATA.

„MYŚL POLSKA"
założona w 1941 r. w Londynie, ukazuje się raz w miesiącu.
Redakcja i administracja:
8 Alma Terrace, Allen Street,
London, W.8. Tel. WEStern 1797.

Prenumerata półroczna (6 numerów) 12s. lub 4 dol.
Prenumerata roczna (12 numerów) £1. 4s. Od. lub 8 dol.

Printed for „Myśl Polska" by „Veritas Foundation Press", 12, Praed Mews, London, W. 2. Tel. PAD 9734. November, 1948.